MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 3. WARSZAWA, 19 STYCZNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

ISTOTA ZAGADNIENIA

Widząc, że dyskusja wywołana moim artykułem o „Wiejskich problemach” dobiega już swego końca, a więc konstruowania syntezy — pragnę i ja do niej się przyczynić i raz jeszcze uwydatnić zasadniczą myśl tego artykułu. Sądzę nawet, że bez mojego wystąpienia dyskusja nie byłaby kompletna i zostałaby bez syntezy, bo przecież chodzi o mój właśnie artykuł. Temat jest tak ważny, że na tem ciągłem powtarzaniu nic nie straci, a raczej przeciwnie — tylko zyska

Otóż przedewszystkiem należy podkreślić, że wszelkie względy klasowe są tu nieistotne, bo sprawa, o którą chodzi, jest w całem tego słowa znaczeniu narodowa, skoro chodzi o wieś, która o sile liczebnej, o samym bycie narodu stanowi. Nie może być klasową sprawa, interesująca cały naród i której pomyślne rozwiązanie od całego narodu zależy.

Gdy chodzi bowiem o kierownictwo wsi, o to by ona była zdrowa i by chłop dzięki temu wypełnił te funkcje, jakie złożoność życia narodowego na niego nakłada — to pozornie tylko to zagadnienie ogranicza się do dworu, plebanji i szkoły. Naprawdę jest ono o wiele szersze i ogarnia sobą cały kraj, bo wieś nie żyje pod jakimś szklanym kloszem i sama sobie nie wystarcza. Ideje cywilizacyjne bierze przedewszystkiem z miasta i na miasto się ogląda. Miasto zatem w znacznym stopniu decyduje o tem, jaka jest wieś i jacy są tam ziemianie, czy księża. Wprawdzie ksiądz i ziemianin, jako będący na miejscu, są z natury rzeczy przewodnikami wsi, ale do troski o to przewodnictwo obowiązani są wszyscy będący u góry i wszyscy winni stanąć do tego apelu, o jakim mówi p. Świeżyński.

Zresztą ich udział w tem prowadzeniu nie jest jakąś socjologiczną mistyką, ale czemś zgoła namacalnem. Jest to bowiem nic innego jak wytwarzanie tej kultury i tej atmosfery moralnej, w imię których ma być wieś prowadzona — a tę budujemy potroszę wszyscy samem swojem życiem, każdy w swoim zakresie mniejszym czy większym. I dlatego za zły stan społeczny wsi — wszyscy jesteśmy odpowiedzialni.

Dlatego też wszystkie oskarżenia z mojego artykułu, które wywołały tyle replik, należałoby raz jeszcze powtórzyć i rozciągnąć na całą inteligencję, która zresztą już bez liku przykrego się nasłuchała, — by zaś uniknąć niepotrzebnych zadrażnień trzeba jasno pewne rzeczy ustalić.

A więc po pierwsze: z całą pewnością można powiedzieć, że ogólny stan wszystkich naszych warstw kierowniczych, albo raczej różnolitych odłamów jednej społecznej „góry“ — przedstawia się dzisiaj dość opłakanie. Są wprawdzie już oznaki poprawy, ale teraźniejszość jest kiepska. Jedni są lepsi, drudzy gorsi, ale średnia naogół jest niewysoka. Mówiłem o pewnych brakach kleru i krytykowałem ziemiaństwo,ale podobnie jest i gdzieindziej, i to właśnie tłumaczy nędzotę wiejskiej góry. Trudno wymagać by jakąś warstwę cechowało specjalne zdrowie, gdy inne koło niej są chore. Społeczeństwo jest jednym organizmem, dół i góra się w niem łączą. Nasz dół spełnia swoją rolę biologiczną, daje ludzi, chce odświeżać elitę, ale ta elita jest taka marna, że dołu nie umie czy nie chce prowadzić. To miałem przedewszystkiem na myśli, pisząc o chłopskich synach w seminarjach. Nie w tem jest zło, że są ludzie (wszystko jedno jacy), którzy chcą iść na kierownicze stanowiska, ale w tem, że, niestety, jest ich na te stanowiska zasługujących zamało.

Pozornie wpadamy tu w pewną sprzeczność, skoro jest dużo nowych sił, zaś abstynecja pewnych sfer może być z naddatkiem zastąpiona przez inne. Ale o to właśnie chodzi, że abstynencji pewnych

R.: Precyzuj!

J.: Po mistrzowsku oprawiliście fragmenta waszego mszału jakgdyby w klamry. Podoba mi się cytat z Mickiewicza na wstępie księgi pierwszej i cytat z Krasińskiego u jej kresu. Jeżeli bowiem traktujemy „Adwent” jako przygotowanie, to godziło się, jak się to stało, przypomnieć słowa wieszcza Adama, że „jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiej pieczy” i słowa wieszcza Zygmunta:

„Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!”

R.: A jakże Ci konwenjuje zresztą cały nasz dobór?

J.: Dziękuję Wam, żeście mi przypomnieli „Arcymistrza”. Ściany pokoju, w którym rozmawiamy, były niejednokrotnie słuchaczami moich utyskiwań na dolę pisarza katolickiego, na brak organizacji i solidarności w obozie katolickim. A tu, ledwom wziął do ręki Waszą książkę, doznałem odrazu — ze strony jej wydawców i czwartego — Mickiewicza — pocieszenia:

„A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na mistrza i cierp, Boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu”.

R.: Co zaś powiesz o zespole wcześniejszych klasyków?

J.: Odpowiem — jako historyk, konserwatysta i może trochę *Kulturmensch* — dwoma słowami: artyzm i tradycja!

Więc najpierw — artyzm:

Spójrzmy na psalm Kochanowskiego. Jakaż to pyszna ta u Was strofa:

„Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota,
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne”.

Kochanowski był humanistą, ale z okresu żywej jeszcze wiary: „Psałterz” był mu równie bliski jak Horacy. Ale jakąż to niespodziankę zgotowaliście mnie, badaczowi XVIII stulecia, Krasickim, tą jego perełką rokokową, niby zegar u Sakramentek czy lusterko na Bielanach, gdzie wszakże Horacy dominuje już nad „Psałterzem”. Sam posłuchaj:

„Daj użytek, daj go w mierze,
To jest najszczęśliwszym stanem”.

Czyż Ci się nie przypomina:

„non ebur neque aureum
meo renidet in domo lacunar?”

Wszystko jedno — i tak przyjemnie sobie uświadomić, że ten książę-biskup warmiński miewał natchnienia religijne, on, który *dans ses moments perdus*, pomiędzy obiadem w Łazienkach i koncertem w Sans-Souci — potrafił być z przekonania nawet konfederatem barskim.

A teraz — tradycja!

Jeżeli w Waszym wyjątku z Ujejskiego czytam, że „ogarnął postrach nocny Twój lud niegdyś dzielny“, to mi ta skarga Jeremiego, przepojonego nawskroś duchem biblijnym, przypomina psalmistę z Czarnego Lasu, co zapewniał wiernych Panu, że mogą nie dbać na „żaden strach nocny”. Jeżeli zaś od Kochanowskiego sięgnę do innego wieszcza z wybranej Waszej dziesiątki, do Słowackiego, od psalmu VIII do psalmu CXXVI, to wiek XIX nie będzie się miał czego wstydzić XVI, gdyż — w poczcie godnym proroków hebrajskich — dorównał Juljusz Janowi z Czarnolasu, syn Salomei rodzicowi Urszuli, kiedy, wielbiąc rodzinę, wyśpiewać potrafił między innemi taką strofę:

„Synowie jego powadze przystoją,
Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
W poselstwa jako złote strzały lecą”.

R.: Utrafiłeś tu w nasze intencje. Ale powiedz-no jeszcze, jak Ci smakowali Szarzyński i Morsztyn, Benisławska i Norwid?

J.: Pierwszy z nich, ten Petrarka polski, wprowadza nas, dzięki Wam, na dobre w nastrój Adwentowy:

„Z wstydem poczęty człowiek, urodzony
Z boleścią, krótko tu na świecie żywie.
I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie
Ginie, od słońca jak cień opuszczony”.

Morsztyn, jak współczesny mu Pascal, dopiero w chorobie madrygały przemienił na suplikacje; Benisławska — to znowu skażony smak saski, to już karykatura baroku Guarinich i Marinich ze swoimi „boskimi szambelanami”, „niebieskimi mieszczanami” i „słonecznemi karocami” oraz ze swoimi potwornymi nowotworami (umiera zaś na lat sześć przed urodzeniem Krasińskiego): „łyskaniami chmuro- błędnemi” i „wiatrami lasołomemi”.

Zato nie mogliście więcej mi dogodzić, jak nieznanym mi wierszem Norwida. Wiesz dobrze, w jakiem jestem teraz usposobieniu, gdy zaś oglądałem po raz pierwszy książkę Twoją jeszcze w księgarni, roztwarłem przypadkiem karty jej na stronie, z której popłynął do mnie duch Norwidowy:

„Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście do człowieka
I zatopiło weń fatalne oczy...
— Czeka —
Czy człowiek zboczy?
Lecz on odejrzał mu, jak gdy artysta
Mierzy swojego kształt modelu
I spostrzegło, że on patrzy, co skorzysta
Na swym nieprzyjacielu.
I zachwiało się całą postaci wagą
I niema go”.

Tylko największy chyba z „cierpiętników” pomiędzy naszymi wieszczami (a cierpieli wszyscy dosyta) mógł się zdobyć na takie *Magnificat* bólu.

* * *

R.: Powiedz mi jeszcze parę słów o naszych „kolendach”.

J.: Znowu na wstępie winszuję „klamerek” Waszego śpiewnika. Dogadza mi zwłaszcza ta przednia:

„Wierzysz, że się Bóg zrodził w Betleemskiem żłobie?
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie”.

Poprzez ten dwuwiersz kojarzy się Mickiewicz ze Staffem:

„Cóż to wielkiego, magowie ze wschodu,
Żeście odkryli po roku podróży
Pana na sianie, między bydłem, gnojem.
Gdy ja bez gwiazdy szczególnej przewodu
Znalazłem Boga, błądząc wiele dłużej,
W jeszcze podlejszej stajni: w sercu swojem".

Dodałbym wszakże, na końcu tego rozdziału, „zamykadło" z Rostworowskiego:

„Panie mój, choć stworzyłeś i niebo i ziemię
Człowiek Ciebie zrozumie tylko w Betleemie!"

R.: No, ale same kolendy?

J.: *Prima, primissima!* Jeżeli już nie chcieliście dać „primitywów" w guście „Anioł pasterzom...", to pozatem daliście chyba naprawdę wszystko, co było warte dania. Bo i „polonez koronacyjny" Karpińskiego i „psalm wigilijny" Norwida i jeden z transów wieszczych Wyspiańskiego i stylizowaną na barok „szopkę" Słowackiego i autentyczne baroki Sarbiewskiego-Twardowskiego i prostszą, bo wcześniejszą od nich, antyfonę Miaskowskiego i rzewną, tęskną, może ostatnią „wilję" Micińskiego i świetną kolendę „kantyczkową" Iłłakowiczównej i znakomity nareszcie „Powrót" Rostworowskiego, którego pierwodruk miałem przyjemność umieścić na Boże Narodzenie 1927 r. w redagowanej wtedy przez siebie „Rodzinie polskiej".

II

Po Nowym Roku spotkałem się po raz drugi z moim przyjacielem. A już wtedy przeczytałem był całą jego książkę.

J.: Wiesz dobrze, że nie przepędziłem świąt w wesołym nastroju. Odpowiadał mi więc Twój „kwietnik" wielkopostny, Twoje „gorzkie żale" na przestrzeni wieków. Patronował mi Mickiewicz, co podobnie jak Geothe, jak Krasiński, jak wszyscy bodajże wielcy artyści i poeci mógł wyznać Bogu, że

„w nocy, cicho na Twe łono
Wylewa (ł) burzę we łzy roztopioną".

R.: Gdzie byłeś?

J.: Na wsi małopolskiej, gdzie blisko czułem się tym razem jej „świątków", tych „Chrystusików frasobliwych", do jednego z których tak żałośliwie przemawia Wasza Matka Boska, jakżeby żywcem wyjęta z zeszłorocznej wystawy średniowiecznej:

„Synku, bych cię nisko miała,
Niecoć bych cię wspomagała:
Twoja głowa krzywo wisa, toć bych ją podparła,
Krew po tobie płynie, toć bych ją utarła..."

Cierpienie bowiem przepaja zaiste całą tę Waszą poezję religijną. Cierpi Kochanowski w „Trenach" i cierpi współczesny mu Szarzyński:

„Komu tak będzie dostatkiem smakować
Złoto sceptr, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tem nasycone
I mógł mieć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg bycia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,
Zawodzi duszę, której wszystko mało"...

Smucą się dalej sięgający już w wiek XVII-ty Grabowiecki i Miaskowski:

„Com ja jest?"—kaja się ten ostatni—„jedno Kainowe plemię,
Co naprzód skrwawił bratem własnym ziemię.
Com ja jest? jedno jeden z liczby onych,
Którzy nie weszli w korab potonionych,
Cham ze mnie drugi, jam jest wieże onej
Kamień, gdzie ludzki język rozdzielony,
Jam ulic świadom i rynków Sodomy,
Jam wszystkie zwiedził i w Gomorze domy".

To klasycy. A literatura nowoczesna? Wyjdźmy np. od współczesnego nam Rostworowskiego, co w „Confiteor" swojem (1930) kaja się podobnie jak przed trzema stuleciami Miaskowski:

„Dziś — bo żywot bez Ciebie zbyt gorzki, zbyt ciężki —
Błagam byś mi nietylko przewiny odpuścił,
Ale zechciał królować, Panie mój i Boże,
W myśli moich Sodomie i uczuć Gomorze".

Jeżeli zaś teraz cofniemy się ku romantykom, przypomnieć wypadnie piękną przypowieść jednego z ich pokolenia (Jana Koźmiana) o tym owadzie na wschodzie, który — przekłuty — świeci. Z tego pokolenia — była już mowa o cierpieniach Mickiewicza, tutaj — obok niego — prezentuje nam się ponownie specjalista-Norwid, w „budrysowatej" (co do formy) balladzie-legendzie („Za odległe gdzieś rzeczy dziś włosienie kaleczy"), pięknej legendzie o pokusach szatana.

I snują się dalej u Ciebie te jęki, skargi i bóle pomarłych dawno lub świeżo zgasłych poetów dobrych, romantyków prawych: Goszczyńskich najpierw (w stylu zupełnie Miaskowskiego), Micińskiego później czy Wagnera. Ale oto na arenę literacką wkracza zwycięski pozytywizm (Asnyk, Prus...). Wychowany byłem w mieście Asnyka — jeżeli nie w jego kulcie, to przynajmniej w podziwie dla wielkiej jego sztuki, ale czy nie sądzisz, że ci racjonalizujący lirycy jego typu, od Musseta począwszy, a na Coppée'em kończąc, dziwnie są jacyś od naszych przeżyć uczuciowych odlegli?

R.: Podzielam Twoje zdanie.

J.: I czy Ci się nie wydaje, że, czytając wyjątek, jakiście zamieścili w Waszym zbiorze z pism znakomitego autora „Faraona", powiedzieć sobie obaj możemy, że nam się już w naszych słabych głowach jakoś nie mieści całe to mądre rozumowanie Wokulskiego?[1])

III

No, a teraz przechodzę do okresu paschalnego. Chwaliłem Was dotąd, jak najęty, ale mi się teraz wydaje, że Wam się mniej udało odtworzenie owego *Hosanna* radości, które ogarnia wiosenną ludzkość na przestrzeni od pól galilejskich aż po błonia mazurskie, tego *Alleluja*, którem rozdzwaniają się dzwony zarówno rzymskie, jak krakowskie. Ja zwłaszcza, jako rodowity Krakowianin, odczuwam tutaj brak tej świąteczności, którą jest przepojone „Akropolis", brak mi poprostu na froncie Wyspiańskiego.

R.: Mieliśmy z tem pewne trudności, których Ty może, jako nieodpowiedzialny wydawca, nie odczuwasz. Podobne trudności, jak z Mickiewiczem

---

[2]) Dużo zato więcej trafia nam do gustu „*Charfreitagszauber*" Stefana Godlewskiego, czy nawet „Wielki Czwartek" poczciwego Syrokomli.

mało jej było jednej iglicy. Podobnie różnice charakterów narodowych zarysowują się jaskrawo w tem, że Anglik kocha króla i swój *home*, a Polak Rzecz-pospolitą, dla której króla sam obierał, że Polak bije się, przynajmniej bił się dotąd, najchętniej szablą i z konia, Niemiec prze naprzód dudniącą buciarami piechotą, a Francuz zdjąwszy przed wrogiem kapelusz z piórami, mówił,—strzelajcie pierwsi, jesteście gośćmi na tej ziemi.

Słowem pierwiastek narodowy wyraża się przedewszystkiem w tych działaniach, w których przeważającą rolę grają władze irracjonalne psychiki, a jeszcze jaskrawiej tam, gdzie działają tylko te pierwiastki — jak n. p. w spontanicznej reakcji na obrazę, w sposobie zabawy czy kłócenia się. Wyraża się on także w proporcji władz irracjonalnych i racjonalnych, najmniej zaś bodaj w działaniach, w których rolę główną gra intelekt, n. p. w nauce, choć bałbym się twierdzić, że nie wyraża się tu on zupełnie. Wyraża się bowiem niewątpliwie w proporcji zainteresowań i rozwoju poszczególnych gałęzi nauki, a bodaj, że i w problematyce niektórych z nich.

Wypadałoby zatem, że *habitus* narodowy jest czynnikiem organizującym władze psychiczne w ich wzajemnym stosunku, przedewszystkiem zaś sferę władz irracjonalnych, którym nadaje pewien określony ład. *Habitus* narodowy jest operatywny, to znaczy jest pewną dyspozycją, która ustala pewien określony aprioryczny stosunek do przedmiotu i powoduje działanie, działanie przytem o możliwie najwyższym, w swym rodzaju, stopniu skuteczności. Habitus narodowy organizuje całą tę chwiejną falę irracjonalnych poczuć i spontanicznych odruchów, która wymyka się z pod kontroli rozumu, ustala pewne związki uczuciowe, nadaje pewne dyspozycje kierunkowe woli, wrażliwość intuicji na pewne zagadnienia i t. d.

To co mówię o operatywnym charakterze *habitus* narodowego jest całkowicie w zgodzie z tą, bezsporną już bodaj prawdą, że narodowość stanowi dla człowieka motor wszelkiej jego twórczości kulturalnej, co się objawia w tem choćby, że niema wielkiej sztuki, któraby nie była narodowa. Co więcej — prawda ta może stanowić argument dla mego twierdzenia, ono natomiast prawdę tę znakomicie tłumaczy. To zaś, że *habitus* jest cnotą, jak to twierdzili scholastycy, zgadza się z pojęciem „charakteru narodowego". Charakter bowiem jest pewnym typem organizacji wewnętrznej, wyraża się w posiadaniu pewnych cnót, w braku zaś innych. Jest on czemś innem niż przyrodzony temperament, jest bodaj właśnie temperamentu tego swoistem urobieniem.

*

Jakże teraz wygląda mechanika tworzenia się *habitus* narodowego?

Naród jest organizmem. Jest pewną konstrukcją, stanowiącą rozwiązanie zagadnienia, postawionego ludziom przez Boga, mianowicie zagadnienia życia. Jest to zagadnienia tego rozwiązanie pełne, to znaczy nietylko w skali jednostki, ale także w skali społecznej. Rozwiązanie to polega na przyjęciu pewnej religji, pewnego sposobu działania, wyrażającego się w historji politycznej i w historji kultury, pewnego sposobu rządzenia się wewnątrz społeczeństwa, co się wyraża w typie ustroju, pewnego stosunku do przyrody, która jest naturalnem, danem przez Boga podłożem życia i t. d., i t. d. — we wszystkich tych czynnikach, które zawsze wymienia się w definicjach narodu. Problem jest ten sam, rozwiązania mogą być rozmaite, problem bowiem jest niewyczerpalny. Każdy naród rozwiązuje ten problem w sposób odmienny, zajmuje wobec niego inną postawę — wytwarza inny *habitus* narodowy.

Zagadnienie nie jest natury matematycznej, rozwiązania jego nie może stanowić jakieś równanie, wzór matematyczny. Zagadnienie ma, jeśli tak można powiedzieć, naturę organiczną, rozwiązanie jego stanowić może tylko pewna konstrukcja organiczna. Taka właśnie konstrukcją jest naród. Jest to rozwiązanie w materji, utwór złożony z formy i z materji. Posiłkując się dalej tym arystotelizmem *in crudo*, powiedzieć można, że *habitus* narodowy jest tu właśnie formą, czy, uciekając się tym razem do Platona, ideą narodu, samym, że tak rzecz wyrażę, pomysłem tego rozwiązania. *Habitus* narodowy w psychice jednostki jest tedy przerzuceniem na tę psychikę konstrukcji narodowej, uformowaniem tej psychiki w myśl idei narodu. Jest to coś jakby przezrocze, które przy pomocy latarni czarnoksięskiej rzucić można na białe płótno. Tylko pod działaniem tego przezrocza na ekranie powstaje obraz, plastyczna organizacja przestrzeni— bez niego jest on tylko neutralnie białą, niezorganizowaną płaszczyzną płótna.

Habitus narodowy rzutowany na psychikę jednostki daje, w przecięciu z jej indywidualnością, dyspozycję jednostkowego rozwiązania tego samego zagadnienia, które naród rozwiązuje w skali społecznej. Ponieważ zaś *habitus* narodowy jest jakby platońską ideą narodu, zatem powiedzieć można paradoksalnie, że nietylko naród składa się z jednostek, ale i jednostka składa się z narodu. Jest to bodaj największy i najdonioślejszy z paradoksów idei narodowej.

Habitus narodowy funduje się na konkretach. Temi konkretami są: narodowa postać obrządku religijnego, przyroda ojczysta, narodowe instytucje ustroju, obyczaju i t. d., zabytki sztuki narodowej, zabytki dziejowej przeszłości narodu i t. p. Przedewszystkiem zaś język. Konkrety te dają wgląd w abstrakcję. Obrządek religijny — w prawdy wiary, tradycja historyczna, taka n. p. jak polska tradycja „przedmurza chrześcijaństwa" — w zagadnienia misji, obowiązku obrony czynnej swego wyznania wiary, pewnego mesjanizmu; język dostarcza pewną problematykę, co się wyraża w tem, że n. p. w języku polskim jest słowo „przewrót", które w języku angielskim nie znajduje odpowiednika, w tem, że każdy język ma cały szereg słów, które nie dadzą się bez reszty, bez różnicy choćby odcienia przełożyć na inny język, o czem wiedzą dobrze ci, co choćby trochę próbowali tłumaczenia, ma przytem swoistą składnię, a więc swoisty system konstrukcyjny.

Przebywanie w pewnych, swoistych warunkach życia, obcowanie z pewną określoną przyrodą, która jest przecież jednym z wielu możliwych, stworzonych typów przyrody, posługiwanie się pewną określoną mową, wpływ tradycji, określonego typu cywilizacji materjalnej i materjalnych świadectw przeszłości i t. d. wytwarza pewną swoistą postawę

psychiczną, wyrażającą się w całem życiu od jego spraw najbardziej codziennych i drobnych do najważniejszych, dziejowych, metafizycznych, religijnych. Tembardziej jeśli się w tych określonych warunkach przebywa w ciągu pokoleń. Postawa ta staje się dziedziczną. Jednakże nie wyczerpuje się w swym charakterze dziedzicznym. Nie wystarczy ją odziedziczyć, trzeba ją przez życie w tych właśnie narodowych warunkach do gruntu posiąść i utrzymać. Polega to na pełnem włączeniu się w system narodowy, w ową narodową konstrukcję. Zjawisko asymilacji świadczy o tem, że drogą jakiegoś wewnętrznego wysiłku można się włączyć w obcy system narodowy, odwrotna zaś strona tego zjawiska — zjawisko wynarodowienia, świadczy o tem, że postawę narodową, *habitus* narodowy można utracić. Jest to zgodne z pojęciem *habitus*, jako dyspozycji, którą można w sobie wyrobić, nie będącej właściwością psychiki nieodłączną, narzucającą metafizyczną jednakowość ludzi.

Habitus narodowy, fundowany na konkretach, powstaje drogą ich poznawania. Objawia się potem w sposobie wyrazu — w najszerszem tego słowa znaczeniu. Jeśli uznamy, że istotą i sensem życia człowieka jest poznanie — poznanie Boga, świata i samego siebie, stosunku Boga do świata i do człowieka, oraz człowieka do świata i Boga, słowem wyrobienie sobie światopoglądu, to uznać trzeba, że *habitus* narodowy, który jest przecież ideą rozwiązania przez naród zagadnienia życia, jest zatem pewną dyspozycją poznawczą, która wytycza drogi do pewnego światopoglądu. Konkretne warunki, które wytwarzają *habitus* narodowy, ułożone są w pewien ład, w pewną konstrukcję, stanowią jeden z możliwych wypadków realizacji ładu Bożego. W myśl tej konstrukcji *habitus* organizuje psychikę. Jeśli zaś uznamy, że wymienione wyżej stosunki, które stanowią naczelny przedmiot poznania, ułożone są też w pewien ład, zawierają tajemnicę konstrukcyjną świata, to okaże się, że do poznania tej tajemnicy, do wyrobienia sobie światopoglądu, potrzeba, aby psychika obdarzona była organizującym pierwiastkiem konstrukcji — skoro podobne można poznać tylko przez podobne, konstrukcję — tylko przez konstrukcję. Zatem światopogląd może być tylko narodowy, albo go wogóle niema. Ten światopogląd zaś wyraża się potem we wszelkiej twórczości człowieka. Bodaj dlatego właśnie niema wielkiej, a więc najgłębiej tworzonej sztuki, którąby nie była sztuką narodową.

Co więcej, pełny człowiek musi być człowiekiem narodowym, inaczej bowiem nie będzie miał tego narzędzia poznawczego, a zarazem twórczego, jakiem jest światopogląd, który osiągnąć można tylko poprzez *habitus* narodowy.

Wydaje mi się, że różnica między tem, co tu nazwałem słowem „*habitus* narodowy", a tem, co się nazywa „instynktem narodowym" — zarysowuje się dosyć jasno. Pozostaje mi dodać, że nie neguję istnienia instynktu narodowego w sensie biologicznym, jakiegoś *habitus* ciała. Na drodze nie abstrakcyjnej, a na przykładzie konkretnym, byłoby nawet trudno rozróżnić sferę działania instynktu i *habitus*, materja bowiem zrośnięta jest z formą w sposób nierozdzielny.

(Dok. nast.) HENRYK EYSYMONTT

ROZMOWA Z PRZYJACIELEM

PISZĄCEMU te słowa zdarzyło się w ostatnich czasach rozmawiać z jednym z wydawców „Chóru wieków"[1], Janem Rembielińskim, o tem wydawnictwie, warunkach, w jakich powstało i w jakich dokonywał się dobór tekstów. Na tej podstawie powstał następujący fikcyjny dialog:

I

JA: Niedosyć, że mnie obdarowałeś wspaniałą Waszą książką, jeszcze przychodzę Cię nudzić dodatkowym wywiadem, nie wystarczają mi bowiem cenne wyjaśnienia, któreście, wydawcy, dali na stronach 433 — 8. Chciałbym więc posłuchać czegoś najpierw o genezie książki.

R.: „Generacja spontaniczna"! Siedzieliśmy kiedyś we troje u Miłaszewskich i ktoś z nas powiedział to innemi słowy, co w przedmowie do naszej książki zaznaczył Arcybiskup, iż „dziw, że dopiero teraz powstała", że „brak zebranej w jedno naszej poezji religijnej". Podczas gdy na ten temat dyskutowaliśmy z Miłaszewskim, p. Wanda notowała już sobie — jeżeli wolno użyć tak barbarzyńskiego wyrażenia — przyszłe „przeboje" naszego wydawnictwa, ona to bowiem stała się jego główną inicjatorką.

J.: I nie mamże racji, skoro Ci zawsze powtarzam, — życie mnie tego nauczyło — że wszystko zło i wszelkie dobro bierze się zawsze z kobiety? Ewa i Marja, Dalila i Urjaszowa, Beatrycze i Joanna, a u nas przed rozbiorami i po rozbiorach: fakcjantki i matrony, Chrzanowskie i Platerówny...

R.: Wstrzymaj potok elokwencji! Powiedz lepiej, jak Ci się podobała nasza książka!

J,: Trzymam się, jak i Ty, roku kościelnego, więc przewertowałem dotąd zaledwie księgę „Adwentową", ponieważ zaś wyjeżdzam na święta, więc przygotowałem się do nich nadto lekturą Boże-narodzeniową.

R.: No i jakież wrażenie?

J.: Uważam, żeście wywiązali się z zadania niemal doskonale. „Adwent" wydaje mi się w tej chwili więcej niż kiedykolwiek indziej, okresem przygotowania: czytam regularnie „*officia*" mszalne, a wasz chorał, wasz „chór wieków" towarzyszy tamtym lekturom moim niby głos organów.

[1]) „Chór wieków — Kochanowski, Sęp-Szarzyński, Karpiński, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Lenartowicz, Wyspiański, Kasprowicz i inni". — Antologja poetycka w układzie W. Miłaszewskiej, J. Rembielińskiego i Stanisława Miłaszewskiego. Z przedmową J. E. ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. — Okładkę rysował Kazimierz Jodzewicz. — Str. XII i 447. — Nakładem księgarni Św. Wojciecha, Poznań, 1936.

sfer być nie może, że ich abstynencja nie da się pogodzić ze zdrowiem społeczeństwa, że ich brak jest nie do zastąpienia. Tu więc ustalenie drugie — walor „krwi pańskiej". Polega on na tem, że ciągłość kulturze, jej wysoki poziom, jej harmonijną przemianę i rozwój, dać może tylko praca ludzi już przez tę kulturę wychowanych, z nią zżytych, dla niej pracujących od pokoleń. Żywioł świeży, ci *homines novi*, to żywioł wprawdzie bardzo cenny i dla postępu tej kultury (postępu oczywiście w sensie doskonalenia się, bogacenia) nieodzowny, ale nie może on „ludzi starych" majoryzować, nie może ich nawet równoważyć, bo kultura to przedewszystkiem tradycja i dlatego przedstawiciele tej tradycji są dla niej szczególnie ważni. Dodam na dzisiaj, — bo jeśli chodzi o całość, o spojrzenie z pewnej perspektywy, to element nowy jest ważniejszy. On reprezentuje dynamikę rozwojową, on prze do ciągłego rozwoju i ma jeszcze tę wyższość, że do niego należy jutro, skoro zwolna przekształca kulturę i potomkowie tych, co byli kiedyś nowicjuszami w jej budowaniu, stają się z biegiem czasu właśnie przedstawicielami tradycji i nauczycielami nowych przybyszów. Cała rzecz jednak w tem, że proces budowania kultury, jak każdy zresztą proces społeczny, nie znosi nagłych przeskoków i zmian. To też nowe siły winny napływać do warstw kierowniczych w takich ilościach, by mogły być przez nie zasymilowane, a raczej by „góra" w miarę ich coraz większego napływania poszerzała swoje możliwości twórcze i pomnażała swój ciężar gatunkowy, co jednak ma swoje granice, dla których dopływ od dołu nie powinien jednak przekraczać pewnego *maximum*. Inaczej nieuchronnie następuje obniżenie kultury, co właśnie dzisiaj możemy obserwować. Ale wina takiego stanu rzeczy spada tylko na „górę" bo tak czy owak ona jest winna, albo nie dając wszystkiego z siebie, albo wykolejając instynkty dołu.

A więc ustalenie trzecie: odpowiedzialność „góry". I tu dochodzimy do drażliwej sprawy zarzutów. Zapewne, że ksiądz „dyrus" czy też ziemianka słuchająca mszy przez radjo (ja naprzykład takiej nie spotkałem) są wyjątkami, może nawet ginącemi w masie, ale nie to jest zasadnicze. Zasadniczem jest, że na pewnych stanowiskach najmniejsze nawet uchybienia moralne są niedopuszczalne, że *noblesse oblige*. Nie ulega zaś wątpliwości, że stanowisko księdza jest społecznie najwyższe, i że co za tem idzie każde jego potknięcie się jest fatalne.

Skoro zaś „góra" jest odpowiedzialna, to i od niej może przyjść poprawa. Nawet tylko od niej. Dół tutaj nic nie pomoże — i to jest czwarte stwierdzenie. Dół jest dołem i w życiu narodu pełni przedewszystkiem funkcje biologiczne. W razie potrzeby może odrodzić z niczego narodowy etos i wskrzesić naród, jak to było w Czechach, ale to są wypadki wyjątkowe i sytuacje rozpaczne. Regułą jest, że szara masa, zresztą bezcenna dla narodu, nigdy narodowej kultury sama nie budowała. Dawała swoich ludzi, dawała rozmach rewolucyjny, ale zawsze ci jej ludzie i ona sama szli wtedy za impulsem z góry. Najbardziej ludowi i rewolucyjni pisarze zwykle nie z ludu wychodzili. Intelektualiści i humanitarne pięknoduchy walczyły o prawa dla suteren. Lud jest masą wymagającą kierowników — nie w nim zatem leży zbawienie.

A więc poprawa zależy od nas, a jest tem łatwiejsza, że każdy z nas może się do niej przyczynić zaczynając ją od siebie. Społeczeństwo składa się z ludzi i najgłębszy sekret jego zdrowia jest bardzo prosty — niech każdy spełnia swój obowiązek. Oto istota zagadnienia, bo chyba największą mądrością człowieka jest takie postępowanie, by zawsze mógł sobie powiedzieć — zrobiłem, co do mnie należało i postąpiłem zgodnie ze swojem sumieniem.

KAROL STEFAN FRYCZ

HABITUS NARODOWY

I

ŚWIATOPOGLĄD jest rzeczą wiary — jest pewnem wyznaniem wiary co do metafizycznych zagadnień świata i człowieka, kwestji początku i celu ich istnienia. W tem jest podobny do religji. Jeśli zaś kwestje początku i celu rozwiązuje przez pojęcie Boga — z religją poprostu się utożsamia. Będąc rzeczą wiary, należy do irracjonalnej sfery naszej psychiki. Występuje jako powszechna intuicja epoki, intuicja twórcza, analogiczna do tej, która poprzedza w psychice jednostki wykonanie jakiegokolwiek dzieła, mającego znaczenie cywilizacyjne, np. dzieła sztuki. Dzieło takie jest wynikiem dążenia tego intuicyjnego objawienia, które z natury jest rzeczą subjektywną, do przejścia w stan objektywny. Dążenie to ma charakter konieczności, idzie bowiem po linji dwu naturalnych potrzeb człowieka — potrzeby komunikowania innym swej wewnętrznej treści i potrzeby zdania przed samym sobą rachunku ze swej pracy wewnętrznej — te zaś zaspokojone być mogą tylko drogą objektywizacji dorobku duchowego. Objektywizacja intuicji twórczej dokonywać się może przez sformułowanie w systemie pojęć, czyli zracjonalizowanie, sformułowanie w twórczości artystycznej, politycznej, gospodarczej i t. d., słowem — w twórczości cywilizacyjnej.

Światopogląd tedy, pojmowany jako powszechna intuicja epoki, jest potężnym ładunkiem energji, który dąży do wyładowania się w twórczości cywilizacyjnej tej epoki. Tylko uznanie pewnego jednolitego światopoglądu za podstawę twórczości danej epoki tłumaczy jednolitość i jednokierunkowość jej cywilizacyjnego oblicza. Bogactwo zaś i różnorodność tonów, które się na ten obraz składają, powstaje przez załamanie się tego wspólnego światopoglądu w całej rozmaitości indywidualnych twórców cywilizacji, niby światła słonecznego w różnych kryształach.

Światopogląd, jako należący do sfery irracjonalnej, nigdy nie może być wyrażony bez reszty przy pomocy racjonalnych, objektywnych środków wyrazu. Stąd tworzy on nowe pojęcia i wogóle nowe środki wyrazu. Każdy światopogląd zastaje cały zasób pojęć, terminów i środków wyrazu, pozostawionych przez jego poprzednika, przez tego poprzednika wynalezionych, lub do jego potrzeb

przystosowanych. Pierwszym więc etapem działania nowego światopoglądu jest rewizja odziedziczonego słownika, rugowanie pewnych pojęć, przystosowywanie innych do swych potrzeb, tworzenie nowych terminów i środków wyrazu, tworzenie słowem nowego, swojego języka, w najszerszem rozumieniu tego słowa. Na tem właśnie polega to, co nazywamy rewolucją pojęciową.

*

Cały ten przydługi wstęp wiedzie do tego, że idea narodowa, którą skłonny jestem uważać za ośrodek nowego światopoglądu, dokonać musi takiej właśnie rewizji pojęć i tak jak w dziedzinie twórczości politycznej i gospodarczej znajduje ona nowe formy i kształty organizacji tych sfer życia, tak i w dziedzinie teoretycznej, formułowania swej teorji, swej filozofji, wyzbyć się musi starych pojęć, dążyć do sformułowań w pojęciach nowych. Dziedzictwo pojęć starych utrudnia pełne sformułowanie tej idei, są one bowiem przystosowane do potrzeb innego zgoła światopoglądu.

Za takie zaś uważam przedewszystkiem pojęcie „instynktu narodowego”, którem dotychczas niemal wyłącznie tłumaczy się związek jednostki z narodem. Pojęcie to, wywodzące się z biologji, odziedziczone po naturalizmie i materjalizmie mijającej epoki, wystarczać może dla teorji rasizmu typu hitlerowskiego, ale nie może zadowolić kierunku humanistycznego i spirytualistycznego. Szczególniej zaś, kiedy się twierdzi, że naród jest organizmem nietylko fizycznym, ale zarazem psychicznym, że związek jednostki z narodem jest nietylko fizyczny, ale i psychiczny, wtedy pojęcie „instynktu narodowego“ jest już zgoła niewystarczające.

To coś, co w jednostce jest wkładem narodu, wyraża się nietylko w tej jednostki typie fizycznym, ale także i nadewszystko w jej typie psychicznym. Gdyby było inaczej, zgoła niemożliwy byłby np. proces asymilacji[1]), w którym przecież przemiana fizyczna następuje i dużo wolniej i o wiele oporniej niż przemiana psychiczna. Nie związki fizyczne, związki krwi, wydają się tu czynnikiem decydującym, jakkolwiek i one grają znaczną rolę. Skoro zaś tak, to pierwiastek narodowy w jednostce jest czynnikiem natury przedewszystkiem psychicznej, czemś takiem, co ludziom, w sensie metafizycznym takim samym, nadaje pewne odrębności wyrazu tej ich jednakiej metafizycznej treści, czyni z nich nietylko ludzi, ale także Polaków, Francuzów, Anglików. Jest to zatem czynnik, który w pewien sposób formuje, urabia metafizyczną istotę człowieka, nadając jej pewien kształt specyficzny, tak jak np. tę samą w istocie rękę ludzką formuje w pewien specjalny sposób praca piórem, a inaczej — praca pługiem.

Ze względu na to, że czynnik narodowy ma tę rolę kształtującą, równocześnie zaś nie narusza metafizycznej równości i tożsamości ludzi, nazwą dlań najodpowiedniejszą wydaje mi się scholastyczny termin *habitus*. Znaczy to tyle mniej więcej co dyspozycja, zdobywana przez ćwiczenie i przyzwyczajenie, zasadniczo różna jednak od mechanicznego nałogu, czy rutyny. Scholastycy zdrowie, czy piękno uznawali za *habitus* ciała, łaskę uświęcającą za *habitus* nadnaturalny duszy. Wyróżniali zaś *habitus* operatywny, który obejmował cnoty intelektualne i cnoty moralne. Taką cnotą intelektualną była wedle nich sztuka, w tym sensie, że człowiek, który potrafi tworzyć dzieła sztuki, który zatem posiadł sztukę, tem się różni od innych, że ma pewną cnotę intelektualną, pewną dyspozycję usprawniającą go do twórczości artystycznej, taką, która zaszczepia w muzyku harmonję, w architekcie równowagę mas, czyli nadaje im zgóry pewien stosunek do przedmiotów ich sztuki, tak jak jakiś *habitus* moralny, powiedzmy cnota prawdomówności, zaszczepia w człowieku pewien stosunek do rzeczywistości. *Habitus* operatywny ma ponadto tę właściwość, że władając nad przyrodzoną chwiejnością władz intelektu, zaostrza i hartuje zarazem stopień ich działalności, przywodzi je w zetknięciu z odpowiednim przedmiotem do działania i to do działania skutecznego[2]). *Habitus* zatem jest czynnikiem organizującym władze psychiczne. Nadaje on im pewien ład, usprawniający do działania w pewnym kierunku. Ład ten sprawia, że w stosunku do pewnych przedmiotów, zagadnień i t. d. człowiek zajmuje określoną postawę.

Ale uznanie pierwiastka narodowego w jednostce za *habitus* — nie jest jeszcze przesądzone. Pozostaje do wyjaśnienia, co mianowicie w człowieku pierwiastek ten organizuje, jaka jest mechanika nabywania go przez człowieka, do czego on usprawnia? Te sprawy wymagają dłuższego i, być może, nieco okrężnego omówienia.

*

Pierwiastek narodowy wyraża się przedewszystkiem w twórczości artystycznej, w typie wiary, w obyczaju, w sposobie wojowania, w postawie jaką się, bez udziału świadomości i spekulacji przyjmuje wobec wroga i t. d. Różnica narodów wyraża się dobitnie w tem naprzykład, że wieże katedry Notre-Dame w Paryżu w swem parciu wzwyż zostały u góry przecięte linją poziomą, że na poziomych krawędziach, przecinających dostojne wznoszenie się gmachu, zasiadły zamyślone nad światem chimery — podczas gdy wieża Kościoła Marjackiego w Krakowie wzbiła się wzwyż jednym stromym, niezmąconym akordem, by u szczytu rozkrzewić się jeszcze w koronę małych wieżyczek, jakgdyby po to, by tem żarliwiej, tem zapamiętalej ulatywać wgórę, jakby

---

[1]) Asymilacja użyta tu jest przykładowo i teoretycznie. To, co o niej tu mówię, nie przesądza praktycznej strony tej skomplikowanej kwestji, np. sprawy możliwości asymilacji żydów.

[2]) Referując *habitus*, opieram się tu na książce Jacques Maritain'a p. t. *„Art et Scholastiques“*. W tejże książce zawarty jest ustęp, którego treść wiąże się w interesujący sposób z dalszym ciągiem moich wywodów. Z uwagi na brak miejsca i względy kompozycyjne trudno włączyć do niniejszego artykułu także i zawarte tam zagadnienie. Proszę więc czytelnika, aby sam sobie te rzeczy powiązał, wspomniany zaś ustęp z Maritain'a przytaczam:

„Le monde moderne a horreur des habitus, quels qu'ils soient, et l'on pourrait écrire une bien curieuse histoire de l'expulsion progressive des habitus par la revolution moderne.... Tout le monde est alors dans la ferveur des machines à calculer; tout le monde alors ne rêve que méthode. Et Descartes conçoit la méthode comme un moyen infaillible et facile de faire parvenir à la vérité „ceux qui n'ont pas étudié“ et les gens du monde.... Ainsi la méthode ou les règles, regardées comme un ensemble de formules et de procédés jouant de soi-même et servant à l'esprit d'armature orthopédique et mécanique, tendent partout dans le monde moderne à remplacer les habitus parce que la méthode est pour tous tandis que les habitus ne sont qu'à quelques—uns...." Str. 65—66.

(„Widzenie księdza Piotra") czy Krasińskim. Zdecydowaliśmy się coprawda na zamieszczenie w tym zbiorze religijnym jego ultramesjanistycznego fragmentu, ale pomijaliśmy z reguły arcydzieła zresztą nawet, w których religja plącze mu się nietylko z Polską, ale z „panią Delfiną". Z Wyspińskim jest co innego, ale i tak woleliśmy wyłączyć z naszego zbioru tak cenne skądinąd akordy, jak:

„Już leci już, już goni hej
Apollo, Bóg świetlany,
Już za nim idą z halnych kniej
I dziewy i dziewany.
Hej, śmiej się dniu, hej harfo graj,
Nieś wichrze w pola granie.
Apollo wnijdź, Apollo wstań
Na Pańskie zmartwychwstanie!"

J.: Nie mówmy o Krasińskim, choć rzadko tyle głupstw, co o nim, wygłosili w ostatnich czasach historycy nawet literatury — brak mi coprawda u Was fragmentów z „Nieboskiej" i z „Irydjona", ale bądź jak bądź Wyspiański i jego „drama paschalne" *haben bei ihnen den Kürzeren gezogen.*

R.: No to zadowolił Cię chyba Kasprowicz?

J.: Oczywiście: trudniej o ściślej „folklorystyczne" ujęcie radości wsi polskiej w triumfalnym dniu Zbawiciela, a inne „pisanki" też wygadzają mi, jak choćby umieszczony przez Was na wstępie do tego ustępu „prymityw" — ten huczny „werbel" Kochanowskiego.

(Dok. nast.) KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

HORACJUSZ

NIL DESPERANDUM!

Rodos lub Mitylenę
niech inni sławią wymownie,
albo dwumorską Koryntu warownię,
albo Teby, gdzie Bakchus,
Delfy, gdzie władnie Apollin,
Efez, lub Tempe, królową wszech dolin.

Inny zasię jedynie
miasto dziewiczej Minerwy
będzie pieśniami wysławiał bez przerwy,
rwąc oliwne gałązki,
by niemi zdobić swe skronie;
wielu zaś, hołdy składając Junonie,

wielbi bogate Miceny
i Argos, gdzie słynie chów źrebców...
Ja nie zaliczam się do tych pochlebców:
nad bogatą Laryssę,
nad Spartę inny mam wybór,
bo mnie lesisty zachwyca Tybur,

gdzie Albunei źródła,
Anjenu grzmią wodospady,
gdzie nad zdrojami zielenią się sady...

Planku! Niezawsze słoty
w morskim przychodzą nam wietrze:
czasem też z niebios i chmury on zetrze!
Takoż i ty, mój mędrcze,
we własne zadumy zasłuchan,
przestań się smucić! Niech wina roztruchan

znoje żywota osłodzi,
zarówno w obozie, gdy chrzęsty
słyszysz oręża, czy wnijdziesz w cień gęsty
gajów swego Tyburu. —
Gdy Teukr gniew ściągnął ojcowski
i z Salaminy uchodził, swe troski

topiąc w winie, z gałązek
wieńce na skronie swe uwił
i do strapionych tak druhów przemówił:
„Gdzie los, od ojca łaskawszy, powiedzie,
gdzie szczęście dopisze,
pójdziem, wierni, tam wraz, towarzysze!

Nie rozpaczać! Teukr wodzem i Teukr wróżbitą wam będzie,
Febus dał bowiem niemylne orędzie,
że Salamina druga
w nowej powstanie ziemicy!
Wszakżeście ze mną wraz, wojownicy,
gorsze już losy przeżyli!

Więc smutek utopmy dziś w winie...
Jutro — znów pomkniem po morskiej głębinie!

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Rabski i Grabski — Dwie powieści o młodem pokoleniu.

GDY Janusz Rabski w upominku gwiazdkowym ofiarował mi swą świeżo wydaną powieść „Alma mater" [1]), doznałem — nie chcę tego skrywać — uczucia lekkiego zakłopotania. Orjentowałem się, iż, z natury rzeczy, mnie przypaść musi obowiązek napisania recenzji o tym utworze. Czy potrafię zdobyć się na bezstronny krytycyzm wobec kolegi, z którym tak dawne, i najlepsze zawsze zachowuję wspomnienia współpracy, który i teraz, w tejże książce nawet tyle mi okazał życzliwości, z taką przyjaźnią, w sposób tak niezasłużenie pochlebny naszkicowawszy tam podobiznę mojej osoby?...

Prawnik, debiutujący w roli beletrysty, zgóry już wywoływać może uczucie pewnego zaniepokojenia u czytelnika. Trudno o rzecz mniej pobudzającą fantazję poetycką, jak studjowanie roczników „Dziennika Ustaw" albo komentarzy Planiol'a. Znając zaś Janusza Rabskiego, wiedziałem doskonale, że działalności adwokackiej poświęcił się nie przypadkowo bynajmniej, ale z zamiłowania, że zdolności jego, temperament i t.d. wyraźnie ku temu właśnie, a nie innemu skierowały go wyborowi zawodu. Jakże zdziwiłem się więc, uświadamiając sobie w miarę lektury, iż ta „nieliterackość" nie tylko nie odstręczała mnie od czytania „Almae matris", ale przeciwnie, w tym konkretnym wypadku, z niej wypływają główne zalety i główna wartość dydaktyczna dzieła.

„Był... poeta, co nigdy nie zmyślał" — pisał niegdyś Ignacy Krasicki, uważając to za rzecz tak dalece niemożliwą, iż dodał zaraz: „...ja to między bajki włożę." Janusz Rabski, naodwrót, ponieważ do cechu poetów się nie zalicza, „zmyślać" poprostu nie potrafi. Dlatego właśnie książka, którą nas obdarzył, posiada cenność autentycznego dokumentu. Dlatego czytamy ją z zainteresowaniem niesłabnącem, — i wiele uczymy się z niej o pokoleniu i środowisku, którego powieść ta jest wiernem zwierciadłem.

Janusz Rabski jest człowiekiem „z jednej bryły": jednaki styl ma i w słowie i w czynie. Andrzej Zarucki, sztandarowy bohater „Almae matris", myśli i działa tak samo jak autor książki, gdy rzeczywiście pełnił urząd prezesa Bratniej Pomocy i toczył walkę o utrzymanie „kośćca ideowego" korporacyj. Zasady, które były mu drogowskazem, otoczenie, wśród którego się obracał, przedstawia Rabski jak świadek prawdomówny, nic nie kryjący ze swoich obserwacyj i przeżyć. Stąd też walor historyczno-informacyjny jego wspomnień: „Takie były zabawy, spory w owe lata..."

Zapewne, możnaby tu zrobić zastrzeżenie, że w psychice młodzieży akademickiej dokonały się od tamtych czasów ogromne zmiany, że i w tej dobie, którą w powieści swojej ukazuje (okres mniej więcej lat 1922 — 1926), mówi nam autor tylko o części pokolenia swych rówieśników, tej mianowicie, której przedstawicielem był wtedy typ działacza z organizacyj studenckich — korporanta. Szybkość zmian wszakże tylko cenniejszem czyni utrwalenie, jak na kliszy fotograficznej, faz rozwojowych, zaś generacja, tutaj opisana, wchodzi obecnie w wiek dojrzałości, obejmowania kierowniczej w społeczeństwie roli, tembardziej przeto musi zaciekawiać atmosfera, wśród której kształtowała się jej młodość. Zaś pod tym względem książka Rabskiego jest nadzwyczaj pouczającym informatorem. Wmyślenie się w nią, zapoznanie się z odmalowanem na jej kartach środowiskiem, wiele interesujących nasunąć powinno refleksyj...

Ograniczę się do jednej, która przy lekturze „Almae matris" ustawicznie musi się czytającemu narzucać. Mam tu na myśli ów ton powagi, namaszczenia niemal, tak wyraźny np. w stosunku członków do korporacji i jej zwyczajów, i w całej zresztą postawie ideowej naczelnych bohaterów powieści (Zarucki, Błoński). Można w tem dopatrywać się cech indywidualnych autora książki, ale jest tu też, jak mi się zdaje, pewien, trafnie zaznaczony, rys ogólniejszy, na który właśnie, przy sposobności, pragnąłbym mimochodem zwrócić uwagę.

Wydaje mi się, iż jest wiele nieporozumień w mówieniu o „płochości" młodzieży, w zarzucaniu jej, iż w sposób lekkomyślny, niepoważny odnosi się do najpoważniejszych zagadnień. Raczej naodwrót, nawet do rzeczy niezbyt poważnych młodość ma zwyczaj odnosić się z największą powagą. Dla młodego, w pewnym sensie przynajmniej, wszystko jest doniosłe, wszystko posiada znaczenie, i dojrzały polityk napewno nieraz się przyzna, że jakaś walka o Bratnią Pomoc, jakiś rozłam w organizacji studenckiej były dla niego przeżyciem bez porównania potężniejszem, niżeli później istotnie wielkiej wagi sprawy, które wypadło mu prowadzić i rozstrzygać. A stąd wspomnienia, urazy i koleżeństwa z tych lat dalekich, często bezwiednie dlań, niemniej w sposób decydujący, determinują jego dzisiejsze postępowanie.

*

Jednocześnie z powieścią Rabskiego, nakładem tejże Księgarni św. Wojciecha, ukazała się druga powieść o młodem pokoleniu — Władysława Jana Grabskiego „Kłamstwo" [2]). Grabski jest o wiele bardziej artystą, obejmuje szerszy zasięg spraw i przeżyć, porusza w sposób subtelny i wnikliwy niejedno ważne zagadnienie dzisiejszej doby. Dokumentem wszakże, w tem znaczeniu co „Alma mater", „Kłamstwo" nie jest i pod tym względem niewiele stosunkowo można wyciągnąć zeń pouczających informacyj. Takich oświadczeń jak mowa Zaruckiego na wiecu antyniemieckim, pamiętam z czasów akademickich bardzo wiele, takich przemówień, jak głos Jacka Nowickiego (naczelna postać w „Kłamstwie") na zebraniu młodzieży, nikt chyba nigdy w rzeczywistości nie miał sposobności usłyszeć. Zarucki jest w swych poglądach, w swem postępowaniu reprezentantem pewnego typu, pewnego środowiska; tak jak Nowicki myślał i odczuwał w owych latach zapewne jeden tylko student — sam autor „Kłamstwa."

Nie znaczy to, abym w postawie psychicznej Jacka Nowickiego nie dostrzegał elementów cennych, nawet — „przyszłościowych..." Ale tu już wkroczylibyśmy w inne, nowe całkiem tematy rozważań...

JAN REMBIELIŃSKI

---

[1]) Janusz Rabski: „Alma mater." Powieść. Poznań 1936. Księgarnia Św. Wojciecha.

[2]) Władysław Jan Grabski: „Kłamstwo". Powieść. Poznań 1936, Księgarnia Św. Wojciecha.

STYLOWY: „Kochaj tylko mnie", reż. Marta Flanz, operator Vlassak.

Niema tu specjalnie rażących błędów, niema też i momentów bardziej żywych, interesujących. Całość jest zdecydowanie nudna. Nudna także pod względem wzrokowym, gdyż przedstawia zlepek aktorskich duetów, tercetów, względnie kwartetów, na tle tej lub innej ściany atelier (wszystko się odbywa w obrębie dekoracyj, t. zw. wnętrz). Film w dość natrętny sposób lansuje nową aktorkę, p. Lidję Wysocką, która się zgrywa na „gwiazdę". Pani Wysocka jeszcze na dobre pracy nie zaczęła a już trąci manierą. Owszem, z panienki możeby coś było, gdyby, narazie, powściągnęła swe ambicje i gdyby ją oddano w dobre ręce reżyserskie, których u nas niestety brak. P. Wysocka wydaje mi się raczej materjałem na komedjową aktorkę charakterystyczną.

Pozatem trzeba wytknąć jeszcze raz złą charakteryzację i niewłaściwą fotografję pań w „zbliżeniach".

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. GABRJEL KORBUT

ZMARŁ w Warszawie w dn. 9 stycznia r. b. ś. p. Gabrjel Korbut, filolog, historyk literatury, bibljograf. Całe życie swoje poświęcił literaturze polskiej, z wielkiem zamiłowaniem oddany jej inwentaryzacji. Gruntownie wykształcony jako językoznawca prace swoje zamieszczał w „Pracach Filologicznych" za czasów A. A. Kryńskiego, był też współpracownikiem „Słownika języka polskiego" (Karłowicza, Kryńskiego). Owocem jego pracy, w tej dziedzinie kapitalnym, jest studjum słownikowe o wyrazach polskich niemieckiego pochodzenia. W latach 1897 — 1899 zamieszczał recenzje w „Głosie".

Książką jego programową, jeśli tak rzec rzec można, był „Wstęp do literatury polskiej" (Warsz. 1924), w której wyłożył swoją metodykę, dając świadectwo dużej wiedzy o literaturze. Była to właściwie osobno wydana przedmowa do wielkiego dzieła bibljograficzno - biograficznego „Literatura Polska". Pierwsze wydanie w 3 tomach 1917 — 1921, drugie wydanie w 4 tomach 1928 — 1931. Osobno wydzielony z tego II wydania tom literatury popowstaniowej w okresie 50 lat 1864 — 1914, leży dziś jako podręczna książka informacyjna na stole każdego literata i dziennikarza (Warsz. 1931. Skład główny w księg. Kasy im. Mianowskiego). Wogóle trudno sobie wyobrazić obecnie pracę literacką bez pomocy owych czterech tomów „Literatury" Korbuta.

W wydawnictwie Gebethnera i Wolffa „Sto lat myśli polskiej", którego był jednym z redaktorów, zamieścił szereg opracowań biograficznych. Doskonała była, na źródłach oparta, jego praca o S. Goszczyńskim. W tomie IX znajdziemy w opracowaniu Korbuta zarysy: Antoniego Czajkowskiego, Henryka Kamieńskiego, Karola Balińskiego, J. B. Dziekońskiego, R. Zmorskiego, Wł. Wolskiego i Mikołaja Malinowskiego.

Na krótko przed śmiercią, w r. 1935 wydał zbiór swoich rozpraw, których, jak się tłumaczy w przedmowie, niewiele napisał z powodu braku czasu: „Szkice i drobiazgi historyczno-literackie" (nakładem Instytutu popierania nauki; skład w Kasie im. Mianowskiego).

Jakiś czas wykładał literaturę w Wolnej Wszechnicy; od wojny był kierownikiem gabinetu filologicznego w Warszawskiem Tow. Naukowem, jako czynny tego Tow. członek. Od r. 1910 był członkiem korespondentem Akademji Umiej. w Krakowie. Jako redaktor „Bibljoteki pisarzy polskich XVIII — XIX w." wydał pisma krytyczne K. Brodzińskiego i dzieła Tymona Zaborowskiego.

Nie celował umysłem krytycznem, ale niemałe oddał literaturze przysługi sumiennością pracy. Poza pracą dla literatury nie znał życia. A życie osobiste miał ciężkie, w długich latach niedostatku, zanim Tow. Naukowe nie dało mu schronu. Niedawno stracił ukochanego syna, oficera.

Jeden z epizodów swego życia, okres młodości, zakończony ciosem śmierci narzeczonej opisał rzewnie z całą naiwnością w broszurze (Warsz. 1931): „Z mego dzienniczka. Pogadanki z narzeczoną". Wydał M. G. K. K. (Michał Gabrjel Karaffa-Korbut).

Pozostawił po sobie pamięć człowieka skromnego, pełnego dobrej woli służenia pożytecznie społeczeństwu.

W.

Ś. P. WŁADYSŁAW KOZICKI

ZE LWOWA nadeszła żałobna wiadomość o zgonie ś. p. Władysława Kozickiego, doniedawna profesora historji sztuki na Uniwersytecie Lwowskim. Zmarł 12 b. m. w wieku 56 lat.

Urodzony w Małopolsce Wschodniej, kształcił się we Lwowie, studjując na Uniwersytecie prawo i filozofję. Zrazu, jako prawnik, pracował w Wydziale Krajowym, jednocześnie jednak studjował historję sztuki pod kierunkiem prof. Bołoza-Antoniewicza, który go po doktoryzacji habilitował na docenta. Było to już po wojnie.

Ś. p. Kozicki entuzjastą był renesansu. Oddając się z zamiłowaniem studjum nad tą epoką, już w r. 1908 wydał monografję o Michale Aniole. Piękna ta książka wyszła jako tom ósmy wydawnictwa Tow. Nauczycieli Szkół Wyższ. we Lwowie p. t.: „Nauka i Sztuka". Książka ta, ozdobiona 89 ilustracjami, luksusowo wydana, świadczy wymownie o ówczesnym rozwoju ruchu umysłowego i wydawniczego we Lwowie. Ostatniem dziełem ś. p. Kozickiego z zakresu historji sztuki jest wydane świeżo studjum o Sichulskim, w zakładach zaś Ossolineum znajduje się w druku monografja o Rodakowskim. W czasie kongresu w r. 1919 ogłoszono w celu propagandy w języku polskim i francuskim pracę jego „Sztuka Polska", bogato ilustrowaną.

Od szeregu lat, już jako profesor, wykładał historję sztuki na uniwersytecie, wielce przez słuchaczy ceniony i popularny. Niestety, minister Janusz Jędrzejewicz, usiłujący wybić z głowy profesorom i wychowańcom ambicje narodowe, usunął z katedry zasłużonego badacza.

Ś. p. Kozicki zainteresowaniami swojemi obejmował szerokie kręgi nauki i literatury. Jako pisarz dał się poznać już w młodym wieku przez swoje studja i szkice krytyczne. Prace z tego zakresu wydał w dziele p. t.: „W gaju Akademosa". Pisał też poezje, próbował dramatu („Euforjon") i powieści („Ziemia"). Utwory te jednak, wysoko cenione przez miłośników głębszej myśli filozoficznej, nie cieszyły się szerszą popularnością.

Ś. p. Kozicki wszedł na arenę pisarską w czasie bujnego rozkwitu Lwowa, jako ogniska kultury polskiej. Należał do najbliższych przyjaciół Jana Kasprowicza, szedł zaś w szeregu młodszych pisarzy i w ścisłej z nimi przyjaźni — z Leopoldem Staffem, Józefem Rufferem, Ostapem Ortwinem. Życie umysłowe w czasach jego młodości koncentrowało się w Związku naukowo-literackim, w którego zarządzie znajdowali się: Jan Gwalbert Pawlikowski, Kasprowicz, Z. Wasilewski, oraz w „Słowie Polskiem", którego stałym współpracownikiem był ś. p. Kozicki. Prowadził on tam dział krytyki sztuk plastycznych, który objął po Władysławie Witwickim. W Związku Naukowo-literackim ś. p. Kozicki wygłosił wiele odczytów, przyczyniał się też znakomicie do podnoszenia poziomu dyskusji.

Po wojnie, w r. 1920, odbył wraz z Kasprowiczem podróż propagandową do Prus Wschodnich w czasie plebiscytu, a wrażeniami z tej wyprawy podzielił się z czytelnikami w szeregu bardzo ciekawych artykułów na łamach „Gazety Warszawskiej".

Żył samotnie, rodziny nie założył, zawsze oddany pracy naukowej, czysty i prawy, oderwany od wszystkiego, co poziome i przemijające. Szerokie miał kręgi przyjaciół, ale nietylko dla nich śmierć jego będzie ciosem; odczuje ją boleśnie całe społeczeństwo.

Cześć jego pamięci! W.

POKŁOSIE

UZUPEŁNIENIE ŻYCIORYSU

Zmarły niedawno lord Reading, znany przedtem pod nazwiskiem Rufusa Isaacsa, miał w prasie wychodzącej w Polsce liczne nekrologi. Dzienniki żydowskie sławiły zasługi tego polityka, wynosząc go niczem drugiego Disraelego, a jedno z pism krakowskich podało obszerną wiadomość o pochodzeniu tego znakomitego męża. Dowiedzieliśmy się z tego, że miejscem urodzenia dwu braci Isaacsów był Kraków, że wyemigrowali do Anglji w dzieciństwie wraz z ojcem i tam porobili zawrotne karjery, głównie na „zręcznem zużytkowaniu wynalazku Marconi'ego". Życiorys ten trzeba uzupełnić ważnym rysem, który nie powinien pójść w zapomnienie, a to jak się zdaje grozi, mimo, iż sprawa odległa jest od nas zaledwie o 25 lat.

Otóż istotnie młodzieniec żydowski, używający imienia i nazwiska Rufus Isaacs, rozpoczął swą karjerę w Anglji od bardzo skromnych zajęć w marynarce, handlu i spekulacji, lecz bez większego powodzenia; dopiero gdy się zwrócił do zawodu prawniczego, natrafił widocznie na grunt właściwy, gdyż niebawem stał się wziętym adwokatem, a od tego przeszedł na drogę polityki, został wybrany do Izby Gmin w roku 1904. Tu bardzo szybko zajął wpływowe miejsce w partji liberalnej i wszedł do rządu jako *Attorney general* (generalny prokurator). W tym momencie właśnie zaszedł najgłośniejszy fakt z jego karjery, znany jako „Marconi-skandal".

Drugi z braci Isaacsów, noszący dźwięczne imię Godfrey, odnosił w tym czasie wielkie triumfy w świecie interesów giełdowych i został dyrektorem towarzystwa akcyjnego, eksploatującego telegraf bez drutu systemu Marconi'ego. Gdy jeden Isaacs był w rządzie, drugi starał się dla swego towarzystwa o koncesję na wielkie przedsięwzięcie, mianowicie na wybudowanie sieci stacyj telegrafu bez drutu w całem Imperjum Brytyjskiem i koncesję tę dostał. Przebąkiwano oczywiście przy tej sposobności, że tam ręka rękę myła, ale ostatecznie wszystkoby ucichło i poszło zwykłym porządkiem, gdyby nie to, że czasopismo „*The Eye-Wittness*", redagowane przez Cecila Chestertona (starszy, nieżyjący już brat znanego i u nas, znakomitego pisarza G. K. Chestertona) podało do wiadomości nieprzyjemny, można powiedzieć nawet ambarasujący fakt, że bezpośrednio przed nadaniem koncesji członkowie rządu, jak Rufus Isaacs, Lloyd George, dalej „*whip*" (kontroler) partji liberalnej i in. nabyli za przyjacielskiem pośrednictwem kolegi Rufusa, brata Godfreya, pewną liczbę akcyj tego towarzystwa, któremu niebawem mieli udzielić koncesji na miljonowe przedsiębiorstwo. Nie potrzeba dodawać, że po udzieleniu koncesji akcje bynajmniej na giełdzie nie spadły.

Trzeba się zgodzić, że było to ze strony braci Isaacsów „zręczne zużytkowanie wynalazku Marconi'ego", ale narazie po tych rewelacjach wybuchł skandal. Wymienieni przez „*The Eye-Wittness*" wytoczyli proces pismu o zniesławienie i proces wygrali. Trzeba wiedzieć, że angielskie prawo o zniesławieniu w druku jest niezmiernie surowe i trzeba rzeczywiście złapać kogoś za rękę na gorącym uczynku, żeby być jako tako przez prawo krytym. Oczywiście takie ryby, jak znakomity adwokat City londyńskiego i jego brat nie dali się schwycić za rączkę i pismo padło ofiarą swej odwagi: drakońskie grzywny doprowadziły je do bankructwa. Ale opinja nie była bynajmniej przekonana i trzeba było dalszych kroków usprawiedliwiających. Została więc wyznaczona parlamentarna komisja śledcza. O procedurze takich komisyj istnieje powiedzenie, którego dwuznaczność jest dla znających język angielski jasna: „*Some reports are heard, some papers are produced and then — the matter drops*". I rzeczywiście sprawa po wielu posiedzeniach upadła, t. zn. została zatuszowana. Wprawdzie stwierdzono, że istotnie jakieś zakupy akcyj miały miejsce, ale nie można z tego nikomu robić zarzutów, były to rzeczy bardzo drobne, a skarbnik partji liberalnej wogóle nie był pewien, czy partja ma jakie fundusze, a gdyby miała, czy podlegają one kontroli publicznej... Jednem słowem komisja wybieliła potentatów politycznych. Działo się to w r. 1911, niedługo potem Rufus Isaacs został sędzią najwyższym *(Lord Chief Justice)*, a później, już po wojnie, wicekrólem Indji, markizem of Reading i wreszcie pod koniec życia ministrem spraw zagranicznych.

Tak więc Rufus Isaacs i godna kompanja wygrali formalnie, ale tem nie mniej znawcy życia angielskiego twierdzą, że ten „Marconi-skandal" był wypadkiem zwrotnym, od niego bowiem datuje się zachwianie wiary w czystość rąk menerów politycznych prowiktorjańskiej epoki. „Drugi Disraeli" był przedewszystkiem szerzycielem korrupcji i jego rodacy nie powinni znów tak bardzo się z niego pysznić.

Może zresztą sprawie żydowskiej oddał jakie usługi. Podczas jego urzędowania jako wicekróla Indji mówiono, że faworyzował on muzułmanów tamtejszych, nie tyle jako przeciwwagę dla ruchu Gandhiego, ile żeby zyskać neutralność świata muzułmańskiego w sprawach palestyńskich.

ARGUS

NA MARGINESIE

Wybór nowego członka do Polskiej Akademji Literatury odroczono z powodu zgłoszonego do prezydjum wniosku o uzupełnienie regulaminu wyborów artykułem, zastrzegającym *numerus clausus* dla żydów.

Oczywiście wniosek ten nie ma żadnej szansy, aby mógł być przyjęty. W razie odrzucenia go, będzie postawiony inny: o usunięcie z nazwy Akademji przymiotnika „Polska", na co większość chętnie się zgodzi.

Prezes Akademji, senator Sieroszewski, zamierza podobno postarać się o zesłanie wnioskodawcy *numerus clausus* do Berezy.

*

Podobno projekt powołania p. Tuwima do Akademji Literatury jest jeszcze chwilowo nieaktualny, ponieważ — według wprowadzonej przez p. Kadena nomenklatury — opróżniony jest w chwili obecnej jedynie fotel imienia Henryka Sienkiewicza... Zaś ustalono już, iż dla p. Tuwima zarezerwowany ma być, jako najodpowiedniejszy, fotel imienia Piotra Skargi...

*

Cenny jest nacjonalizm, ale nie powinien się przeradzać w ciasny, niekulturalny szowinizm. Taką właśnie hecę hurra-szowinistyczną rozpoczyna obecnie „Robotnik", nawołując do bojkotowania koncertu orkiestry filharmonicznej berlińskiej, ze względów... patrjotycznych, ponieważ z orkiestry owej usunięto „obywatela polskiego", skrzypka Goldberga... Towarzysze! czyż nie zadaleko już pociąga was zapał do popierania „polskich obywateli", czy nie właściwiej byłoby stosować do muzyki oceny czysto muzyczne, a nie wypaczać ich polityczno-szowinistycznemi względami? Czy dla solidarności z usuniętym „obywatelem polskim" mamy wyrzekać się usłyszenia VII symfonji Beethovena? Czy nie wydalibyśmy sobie, szanowni Towarzysze, poprostu świadectwa... barbarzyństwa?

*

Zaniepokojenie wśród słuchaczów Polskiego Radja wywołał fakt, iż ostatniej niedzieli nie dane im było usłyszeć, zgodnie ze zwyczajem, tradycyjnej „Wesołej lwowskiej fali..." Przecież—mówiono sobie ze szczerem zmartwieniem — była to jedna z rzadkich już rzeczy p o w a ż n y c h w dzisiejszych programach audycyj radjowych...

*

Wydawca „Wiadomości literackich" p. Grycendler — wydał niedawno nowy miesięcznik p. n. „Przyjaciel psa". Stara to maksyma rasy — z psem lepiej w przyjaźni.

BŁĘDY W DRUKU

W n-rze poprzednim (2) w feljetonie „Głosy" (Echa Kieleckie) wkradła sią omyłka — w wierszu siódmym od góry wydrukowano „zielone ściany" zamiast „bielone", co oczywiście zdanie pozbawiło sensu.

Książeczka przeznaczona jest głównie dla młodzieży, ale pewnie i niejeden starszy miłośnik Horacego chętnie do niej zajrzy. (J. B.)

*

Franciszek Herczeg: „Poganie" Warszawa 1936 Bibljoteka węgierska — stron 282 cena 6 zł. 50 gr.

Okrągło przed rokiem, omawiając przekłady powieści Körmendiego, wskazywałem na to, że w zapoznawaniu nas z literaturami obcemi nie wszystko jest w porządku. Otóż jeśli chodzi o Węgry, to rok ubiegły przyniósł jednak korzystne zmiany, skoro tłumacz Körmendiego p. Rezsö Schütz zabrał się do największego z nowszych autorów, Zilahyego, przekładając jego „Dusza zamiera", a na senjora dzisiejszych węgierskich pisarzy Herczega, zwrócił uwagę p. Stanisław Pazurkiewicz, tłumacząc jego „Pogan".

Za przyswojenie naszej literaturze tej powieści należy się p. Pazurkiewiczowi prawdziwa wdzięczność, bo znakomity Herczeg był dotychczas u nas tylko bardzo powierzchownie znany, jako komedjopisarz i humorysta, autor głośnych „Gyurkowicsów" — tymczasem dramat i epika historyczna zajmują w jego twórczości tak wybitne miejsce, że naklejanie mu tamtej etykietki jest zupełnie niesłuszne.

Z licznych historycznych powieści Herczega pierwszą są „Poganie", a jak niektórzy twierdzą, rówież i najlepszą — dobrze się więc stało, że od niej zaczął swą twórczość przekładową p. Pazurkiewicz. Ma też ta powieść i tę jeszcze wartość, że pokazuje nam Węgry i duszę węgierską, zwłaszcza tę najciekawszą może duszę stepową —a więc to, co u Węgrów jest najbardziej egzotycznego. Osnuta na tle powstania pogan w połowie XI wieku — niemal równoczesnego z naszym buntem Masława — przedstawia konflikt, jaki w duszach stepowych koczowników z puszty musiał się rozegrać między tem wewnętrznem ukorzeniem się, jakiego wymagał Kościół Katolicki, a zaczerpniętą z bezkresów stepowych pyszną i swawolną swobodą. Taka jest treść przemian duchowych bohatera powieści, Kanonika Marcina, z którego puszta robi Alpára, wodza Pieczyngów i mordercę chrześcijan.

Przełomowa epoka tego rozdroża węgierskiego odmalowana jest przez Herczega tak wnikliwie, że widać w niej nie tylko odwieczny konflikt historji (bo zawsze są jakieś nowe czasy i stara reakcja), ale też i to, co jest wręcz dzisiejsze. I tak to, co pisze on o stosunku nomadów do Bizancjum i wogóle miasta — w sposób jedynie trafny tłumaczy nam, dlaczego na Węgrzech jest tylko jedno wielkie miasto Budapeszt i dlaczego ta wzorująca się na Wiedniu stolica ma swoją odrębną fizjognomję i specjalny charakter, który wyróżnia ją nietylko od jej wzoru — Wiednia i innych miast Europy, ale zgoła i od pozostałych miast węgierskich, będących raczej dużemi wsiami, czy co najwyżej miasteczkami.

Przekład p. Pazurkiewicza bardzo staranny, nie wykazuje żadnych usterek — co najwyżej można mu zarzucić tylko nadużywanie słowa „posiadać" zamiast „mieć" — tak częste dzisiaj. (K. S. F.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W XXVII tomie wydawnictwa „*Enciclopedia Italiana*", poświęcono 60 obszernych stron naszemu państwu, jego historji, geografji, archeologji, kulturze obyczajowej i artystycznej, nauce i literaturze. Cała ta część encyklopedji została też wydana w osobnej odbitce, noszącej tytuł „*Polonia*". Raduje się serce, gdy wziąć w rękę tę publikację. Śliczne ilustracje wprost zachwycają oko. Ukazano tu istotnie najpiększe zakątki naszego kraju, najoryginalniejsze stroje i wzory zdobnictwa ludowego, najciekawsze zabytki architektury, rzeźby i malarstwa. Co do ostatniego można by się trochę zadziwić: Matejko reprezentowany jest tu tylko w jakimś kątku mikroskopijną reprodukcją fragmentu z „Batorego pod Pskowem", natomiast na jednem z naczelnych miejsc rozpiera się pacyk Meli Mutter. Ha, trudno!... Prócz ilustracyj spotykamy w tej publikacji sporą ilość wykresów i mapek, unaoczniających gęstość zaludnienia, produkcję rolną i przemysłową, a wreszcie granice Polski z różnych okresów, od Bolesława Chrobrego do rozbiorów.

Tekst opracowany został wspólną pracą specjalistów włoskich i polskich. Geograficznym zarysem zajął się R. Ricardi, opracowanie dziejów Polski, następnie szkicu o mowie polskiej i literaturze wziął na siebie prof. uniwersytetu w Rzymie, Giovanni Maver, główny podobno redaktor całego działu polskiego encyklopedji. Wywiązał się z zadania doskonale, dając jasny i treściwy przegląd faktów, uzupełniony starannie dobraną bibljografją; z nieuchronnych omyłek druku (których zresztą jest nader mało) jedna może mieć znaczenie ważniejsze: śmierć J. Piłsudskiego nastąpiła nie 2 maja, ale 12-go. Prawo polskie omówił fachowo S. Kutrzeba. Niepodpisany jest — a szkoda! — rozdział o etnografji polskiej, ujęty rzeczowo i bystro. Zwięźle informuje o prehistorji polskiej J. Kostrzewski, obszerniejsze rozdziały dostały się sztukom plastycznym (F. Kopera) i muzyce (Z. Jachimecki), więc tym działom, które Włochów najwięcej mogą interesować. Autorowie uczynili wszystko, by zainteresowanie to wzbudzić i pokazać, że Polacy mają się czem poszczycić w obu dziedzinach. A poszczycić się może całą publikacją jej Komitet redakcyjny. Dobry gust połączył się tu z sumienną wiedzą i rzetelnie pojętą celowością. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

STANISŁAW NOAKOWSKI

WŚRÓD wystaw, jakie IPS urządził w ostatnich czasach, najciekawszą i bezwątpienia najbardziej wartościową była wystawa prac Stanisława Noakowskiego. Społeczeństwu, które zna Noakowskiego przeważnie z ostaniego okresu jego twórczości, zobrazowała ona dorobek całego życia artysty, w przykładach najcelniejszych i najbardziej charakterystycznych. Do katalogu wystawy, obok spisu prac i ilustracyj, dołączono notatki biograficzne, sporządzone przez samego artystę, w maju 1925 roku i znajdujące się obecnie w zbiorach p. Czesława Olszewskiego. Te, nieraz b. lakoniczne, zapiski są materjałem b. cennym i nawet spotykane tu niewątpliwe błędy językowe okraszają je rumieńcem tembardziej żywej prawdy. (tak np. Noakowski pisze: „pierwszy mój nauczyciel był Mierkowski, młody, sympatyczny człowiek"...).

Noakowski, ur. w roku 1867-mym, przyszedł na świat w Nieszawie. Ojciec jego był rejentem i wedle relacji syna „władał wytwornie francuszczyzną, tłumaczył i drukował kilka dzieł, „Paweł i Wirginja" B. de St. Pierre, między innemi". Rodzina Noakowskiego (ci najbliżsi) osiadła w okolicach Nieszawy, Kalisza i Piotrkowa Żydowskiego. Byli między nimi prawnicy i księża. Młody Noakowski uczył się w szkole realnej we Włocławku. Od najmłodszych lat objawiał zamiłowanie do rysunków (dobrze rysowali również jego ojciec i brat). Jesienią 1886 roku wyjeżdża do Petersburga i wstępuje do Akademji Sztuk Pięknych. Jako student wydziału architektury uzyskuje szereg odznaczeń, aż do wielkiego złotego medalu włącznie i w roku 1894-tym, jako stypendysta, wyjeżdża zagranicę. W pięć lat później zostaje kusztoszem Muzeum Przemysłu Artystycznego, przy Szkole Strogonowskiej w Moskwie. W tym okresie b. dużo podróżuje i karjerę jego wieńczy — jeśli tak można powiedzieć o Noakowskim — nadanie mu w 1915 roku godności członka rzeczywistego Petersburskiej Akademji Szt. Piękn. Rok 1918-ty jest w życiu Noakowskiego datą przełomową: w tym czasie przyjeżdża do Polski. Narazie pracuje jako skromny referent w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w rok później zostaje profesorem Politechniki Warsz. i już do końca życia pracuje w Polsce i dla niej. Umiera dnia 1 października 1928 roku.

Wydała go i przyjęła z powrotem, jako wiernego syna, nasza ziemia. Uczył się tylko u obcych, ale ziarno wiedzy padało na polski grunt, to też owoce tej nauki są nasze. Gdy umarł, ludzie odczuli inaczej jego śmierć, niż zgon wielu innych artystów; twórczość Noakowskiego była w swoim

rodzaju zjawiskiem wyjątkowem, a on sam — człowiekiem niepowszednim. Oddany sztuce, poza którą nic dla niego nie istniało, o gołębiem sercu, miał w sobie coś ze Świętego Franciszka z Asyżu. Nieraz też o nim wspominał z jowialną poufałością. Jako plastyk stanowił pozycję jedyną; istota i rodzaj jego sztuki nie miały sobie podobnych. A przecież, zewnętrznie rzecz biorąc, czynił to, co i wielu jego innych kolegów po fachu: malował małe obrazki, uprawiając przytem „motywy" architektoniczne. W dodatku technikę miał napozór niewymyślną. A jednak wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jakie miejsce należy się Noakowskiemu w hierachji artystycznej. Osiągnął ideał, do którego powinien dążyć każdy artysta: mówiąc najmniej, powiedzieć jaknajwięcej.

Lakoniczność środków wypowiedzi, a zarazem bogactwo wywołanej niemi wizji artystycznej cechuje sztukę Noakowskiego. Plastyka zna dwa rodzaje prostoty: jedna jest poprostu ubóstwem, lub z niem graniczy, do drugiej dochodzi się bardzo mozolną drogą odrzucania wszystkiego, co nieistotne, bez czego można się obyć. Sztuka polega na umiejętności wyboru z pośród tysięcy wartości plastycznych, które nam proponuje natura, tych najwłaściwszych, dla ujawnienia naszej koncepcji. Umiejętność ta wymaga talentu i doświadczenia. Oczywiście talent decyduje ostatecznie, ale nie należy bynajmniej niedoceniać roli doświadczenia. Talent podpowiada wyobraźni wizję wcześniej, zanim jeszcze dłoń potrafi dla niej wypracować kształt właściwy. Wizja artystyczna Noakowskiego dojrzewała bardzo długo, zanim osiągnęła swój wyraz ostateczny. Zmiany, jakie przechodziła twórczość artysty, nie są przemianami upodobań, które skierowują zainteresowania plastyka raz w tę, drugi raz w inną stronę. Tutaj mamy tylko do czynienia z etapami jednej drogi, która do jednego celu prowadzi.

Rozpoczął Noakowski te wędrówkę bardzo wykończonemi, dokładnemi, niemal suchemi studjami stylowych wnętrz. „Piłował" je — było to „kucie" poprostu, wbijanie w pamieć każdego szczegółu porządków architektonicznych. Późniejsze moskiewskie studja są już swobodniejsze, ale jeszcze pełno tu szczegółów. Z tego czasu pochodzą też, ostrą linją, *stricte* wyciągnięte wnętrza, w których barwa, kładziona plamą lekką i żywą, świadczy o uzyskanem majsterstwie. Lata ostatnie przed wojną europejską przynoszą Noakowskiemu pełne urzeczywistnienie jego koncepcji plastycznej. Zapatrzony w siebie, wyczarowuje teraz artysta szereg wizyj nigdy niezapomnianych. Wspomagany cudowną intuicją, umie wyłowić z każdego stylu architektonicznego cechy mu najwłaściwsze i utrwalić je nieomylną dłonią. Na skinienie wyobraźni staje teraz przed nim każdy, potrzebny mu, charakterystyczny szczegół. Pamięć, wyobraźnia, dłoń, posłuszne woli plastyka, trud fizyczny pracy ograniczały do *minimum*.

Po długim poście na obczyźnie, po powrocie do kraju, jakaż zachłanność na wszystko co polskie, na zabytkową architekturę w Polsce, na to, co mogłoby u nas istnieć!

Skromnemi aluzjami kilku tuszowych kresek, potrafił Noakowski powiedzieć więcej, niż autorzy rozlicznych wielkich malowideł.

WIKTOR PODOSKI

FILM

ATLANTIC: „Nasze słoneczko", film amerykański.

Jeśli słuszna jest zasada, że w filmie reżyser powinien wygrywać swoje pomysły aktorem, traktowanym narówni z innem tworzywem filmowem, to w odniesieniu do dzieci grających jej słuszność jeszcze zyskuje na sile. Bardzo trudna to sztuka umieć posługiwać się dzieckiem-aktorem w filmie. Posługiwać się tak, aby to, co się chciało—powiedzieć, a zarazem dzieciaka nie zepsuć i nie zniszczyć bezpośredniej świeżości jego dziecięcych odruchów. Gdy dorośli raz zauważą rozkoszne minki, jakie stroi mały brzdąc, pragną, by je później powtarzał na zawołanie. Stąd też w krótkim czasie nieuchronna rutyna i wówczas—żegnaj nam mały genjuszu!

Nie można powiedzieć, by małej Shirley Temple, najbardziej uroczemu cudownemu dziecku naszych czasów, dano w tym filmie właściwe pole do działania: każą jej grać, jak dorosłej aktorce, z całym arsenałem efektów mimicznych, a mała to umie i nie żałuje sobie oczywiście. (Zdaje się, że jest już w przededniu maniery).

Zabawy z pieskiem, przygotowania małej do podróży, gdy zamierza opuścić dom rodzicielski — to nieliczne sceny, w których 6-letnia aktoreczka jest traktowana właściwie i użyta odpowiednio.

Reżyserja i obsada aktorska — nieciekawe. Zadużo djalogów.

APOLLO: „Marja Baszkircew", reż. Kosterlitz, film austrjacki.

Marja Baszkircew, Rosjanka, to miłość Maupassanta. Autorzy filmu uprzedzają, że nie przestrzegali prawdy historycznej, a sam fakt posłużył im za odskocznię do pomysłu, według którego zrealizowali swój utwór. Biorąc te zastrzeżenia pod uwagę, stwierdzamy, iż rzecz cała została przeprowadzona b. subtelnie, wygrana półtonami i półakcentami. Fotografja piękna, zdjęcia miękkie i, gdzie należy — soczyste, kompozycja poszczególnych obrazów i scen bardzo staranna. Również dobra i dyskretna jest gra aktorów, z Hansem Jaray na czele. Film kończy wartościowa pod względem artystycznym scena, w której widzimy twarz umierającej Marji, w trzymanem przez nią lusterku, nie widząc jednocześnie samej osoby.

Mimowoli nasuwa się pytanie: ten kulturalny film wyprodukowała mała Austrja, dlaczego u nas podobnych nie robią, czyżby nie było warunków potemu?

FILHARMONJA: „W walce z caratem", reż. G. Kozincewa i L. Trauberga.

Ten utwór, o cechach dobrze nam znanych z wielu filmów sowieckich, zasługuje na uwagę z powodu ciekawego (właśnie dla ideologji sowieckiej) ujęcia tematu. Tematem jest walka rosyjskich es-deków z caratem, po roku 1905-ym. Możnaby się spodziewać, jakiemi to czarnemi barwami zostanie namalowany wróg! Otóż wcale nie — jeśli tak sądzicie, spotka was zawód, pod tym względem malowidło jest zgoła dyskretne. Bezlitośnie potraktowani zostali tylko szpicle, specjalnie starannym doborem typów, wśród reszty „stupajek" jest nawet jeden jowialski. Poza kilkoma dramatycznemi fragmentami, całość dzieli się raczej pomiędzy obrazy charakterystyczne i pogodne. Nie brak i humoru, który nie przemieszany ze scenkami o innym nastroju, jak karty w talji, wykwita wprost z momentów poważnych. Zamiast scen sadystycznych, wybierano chętniej inne, demonstrujące, jak młódź rewolucyjna nabiera swych prześladowców na kawał i jakie stosuje dowcipne pomysły, żeby zakonspirować się jaknajlepiej. Także sposoby „dojrzewania rewolucyjnego" robotników wyglądają całkiem logicznie i nie mają propagandowej przesady. Nieznośna jest tylko rosyjska maniera zwalniania tempa, gdy bohaterowie filmu wypowiadają kwestje ideologiczne.

Z pomysłów dźwiękowych należy zanotować jeden: w hali fabrycznej, nad zwłokami zabitego przy pracy młodzieńca stoi (bardzo wyrazista i pięknie skomponowana) grupa robotników. Ludzie milczą. Za ludzi płaczą dalekie gwizdki fabryczne, pojękiwania syren. Ta scena, w swojej wymowie, należy do najpiękniejszych.

GŁOSY

WOBEC NIEBYWAŁEGO BAŁAMUCENIA opinji naszej publicznej przez pewnych informatorów z Zachodu (oczywiście żydów), wobec takich faktów, jak że jeden z korespondentów organu umiarkowanego i bardzo burżuazyjnie nastrojonego, zwalczając faszyzm, wymienia jednym tchem Włochy, Niemcy i... Japonję jako państwa totalno-absolutystyczne, ale nie dostrzega jakoś „Sowietów", dobrze będzie zestawić na tem miejscu trzy informacje—wszystkie trzy ze źródeł poważnych i bezpośrednich, zaczerpnięte przez sympatyka naszej redakcji. (Nb. p. Z. R. stara się dość systematycznie koncentrować na łamach naszych informacje, pomijane częściowo przez prasę naszą *à grand tirage*).

1) Oto więc autentyczny wyjątek z listu rzymskiego o dacie niedawnej, gdyż 22 z. m., pisanego w dodatku przez człowieka nader rozumnego i krytycznego:

„Jest tu wielkie naprężenie patrjotyczne, do którego niemało przyczyniły się sankcje. Zmysł rzeczy publicznej zastąpił narazie właściwą opinję publiczną, która jednak znajduje ujście w entuzjazmie. Odruch to bardzo piękny i bardzo szanowny; wszystko zależy od tego, jak silną okaże się ta „wzruszeniowość" w zetknięciu z wypadkami... Co się tyczy wszakże zagadnień polityki wewnętrznej, to osiągnięta została w ich zakresie najzupełniejsza solidarność..."

2) Z rozmowy z pewnym wybitnym dyplomatą, który bawił w Rzymie i wyjechał stamtąd w połowie grudnia: Potwierdza zdanie naszego korespondenta, że naród włoski skupił się dookoła Mussoliniego pod znakiem entuzjazmu, czego piszący te słowa nie zauważył był jeszcze pod koniec września, obserwując wtedy, że solidarność względem wojny wytwarzała się wówczas raczej na platformie karności, niż entuzjazmu. Ten sam rozmówca dyplomatyczny nie krył się bynajmniej z poglądem, że młoda dyplomacja faszystowska popełniła może nawet liczne i duże błędy, ale, właśnie jako dyplomata starej i dobrej szkoły, wyrażał się z olbrzymią wprost pogardą o dyplomacji genewskiej, twierdząc że „tylko ludzie bez żadnego ideału w życiu prywatnem" mogą się do tego stopnia upajać haszyszem „ligowości". Rozmówcy temu znane były wkońcu dokładnie nastroje Watykanu, i to zarówno osobiste Ojca św., jak kardynała—sekretarza Stanu i O. generała Jezuitów. Na tej podstawie stwierdzał on, że wszyscy wymienieni ci dygnitarze i dyplomaci w znaczniejszym stopniu zaniepokojeni są sytuacją europejską, niż nią był Watykan w przededniu „wielkiej wojny". Rozmówca, znający dokładnie stan rzeczy w Niemczech, wyglądał najbardziej zaabsorbowany „przyczajeniem się" tego mocarstwa, zwłaszcza że już rok temu mówił był piszącemu te słowa, jako o fakcie konkretnym, o podpisanym już rzekomo sojuszu militarnym pomiędzy Niemcami a Japonją.

3) W ten sam wreszcie dzień, kiedy rozmawiał był z wspomnianym dyplomatą, otrzymał piszący te słowa informację pośrednią od osoby przybyłej zupełnie świeżo z Rzymu, oserwatora tym razem praktyczno-handlowego, który potwierdził podwójne już jego informacje o entuzjazmie we Włoszech.

Cóż na to korespondenci paryscy, wiedeńscy, czy „rzymscy" niektórych pism stołecznych?

EVOE! — JAK CI BOGOWIE NA SPOSOBY BIORĄ SIĘ! Pan B. K. naczelny publicysta „Kurjera Warszawskiego" jest niewyczerpany w sposobach nastrajania opinji naszej przeciw Włochom faszystowskim. Tak było dawniej, przed wojną włosko-abisyńską, tak jest tembardziej dzisiaj, w okresie tej wojny, kiedy ona daje mu tyle sposobności do wykazywania jak to „akcja zaborcza" Włoch w Afryce nie sprzyja pacyfikacji Europy, jak osłabia je same, podczas gdy Włochy, silne militarnie i finansowo, potrzebne są Europie etc, etc.

Tego rodzaju stosunek p. B. K. do włoskiego przedsięwzięcia afrykańskiego jest zgodny z jego etycznem stanowiskiem wogóle w polityce, nie można więc mu się dziwić, że na Włochów jest niełaskaw. Nieco dziwniej natomiast wygląda, gdy p. B. K. tłumaczy czytelnikom „Kur. War.", dlaczego inni bronią prawa Włoch do ekspansji kolonjalnej w Afryce. „Ci politycy, zresztą, na szczęście, nieliczni (p. B. K. — policzył) — którzy bronią dziś włoskiego przedsięwzięcia afrykańskiego, czynią to dlatego, że pokładając wiarę w ustrój autorytatywny, włoski czy *à la* włoski, obawiają się jego ewentualnego osłabienia". (p. „Kur. War." z dn. 5-go stycznia).

Ponieważ w tym wypadku chodzi o „ustrój włoski" — więc „*à la* włoski" — jako niepotrzebnie przyczepiony do sprawy — pomijamy.

Otóż tutaj trzeba dodać, aby należycie wyrazić myśl tych, co stoją po stronie Włoch, że oni obawiają się ewentualnego osłabienia ustroju autorytatywnego włoskiego, gdyż między innemi jest on solą w oku wszelkich międzynarodówek, które dążą do jego obalenia, jak dążą wszędzie do uniemożliwienia ustrojów prawdziwie narodowych. Politycy, których p. B. K. ma na względzie, wolą więc stać po stronie Włoch faszystowskich, są one bowiem syntezą uczucia narodowego oraz ducha sprawiedliwości społecznej, niż zwalczać je — w dodatku w chwilach dla nich ciężkich — i odmawiać im prawa do ekspansji kolonjalnej — na której inni wznieśli swoją wielkość, potęgę militarną i finansową — razem z obrońcami angielskiego imperjalizmu oraz p. Blumem, Litwinowem, Madariagą, Paul-Boncour'em i t. p. filarami wszelkich „internacjonałów."

Politycy ci sprzyjają Włochom i dlatego jeszcze, iż w chwili obecnej one to właśnie wysoko trzymają sztandar cywilizacji łacińskiej, i gdyby tę ideały nie były w stanie dekadencji u innych narodów Europy, to — jak był słusznie powiedział Mussolini — wszystkie one stałyby po stronie włoskiej. Co zaś do niezgadności owych polityków z etyką chrześcijańską, to niech p. B. K. pozbędzie się próżnej troski o to, bowiem stanowisko ich zgodne jest z postawą tych licznych dostojników Kościoła, którzy składają na półwyspie ofiary na „przedsięwzięcie afrykańskie" i zagrzewają ludność jego do wytrwania.

NAUKA i LITERATURA

KULTURA i WYCHOWANIE

LISTOPADOWY numer (zeszyt pierwszy — rok trzeci) „Kultury i wychowania" przynosi niezwykle ważny artykuł Andrzeja Niesiołowskiego „Problemat konsumenta kulturalnego i polityki kulturalnej", poruszający aktualną dziś sprawę t. zw. „nożyc" w dziedzinie kultury. Zagadnienie to sprowadza się w praktyce do istnienia „elity" oraz „szarego człowieka" — jak również i dwupoziomowego spożycia kulturalnego. Im bardziej podnoszą się wymagania i krytyka oderwanych od życia kół literacko-artystycznych, tem więcej jednocześnie obniżają się gusty i zainteresowania szerokich rzesz publiczności czytającej, „uczęszczającej" do kin i teatrów, słuchającej bez znudzenia „koncertów reklamowych" przez radjo etc. etc. To zatrważające zjawisko, niewątpliwego już teraz narzucania wulgarnych wymagań wytwórcom w tej gałęzi przez ich odbiorców, staje się dla nieuprzedzonego oka wyraźnym objawem schorzenia społecznego. Gasnąca epoka liberalizmu i tutaj pozostawiła wyraźne ślady rozkładu... Liberalizm kulturalny, brak postawy społecznej, t. j. poczucia odpowiedzialności wobec konsumentów produkcji kulturalnej — wyrażający się bądź to w haśle „sztuka dla sztuki", bądź w schlebianiu najniższym instynktom ze względów „kasowych", lub wreszcie w burzeniu wiar i ołtarzy bez liczenia się z ujemnemi skutkami dla ładu społecznego — wpełni potwierdzają anorganiczność tej bezstylowej epoki.

Bezładowi w dziedzinie kultury usiłują dziś się w sposób zdecydowany przeciwstawić grupy i prądy, próbujące zorganizować przyszłość swych społeczeństw na zasadach hierarchji wartości. Mamy tu na myśli krańcowo przeciwne ideologje: katolicyzm i marksizm, faszyzm i hitleryzm. Wszystkie one odrzucają autonomję wartości kulturalnych, podporządkowując je celowi najwyższemu, ostatecznemu.

Nawiasem mówiąc, autor nieściśle formułuje cel najwyższy nacjonalizmu, jako „interes polityczny i społeczny danej zbiorowości", zubożając go w tej ciasnej definicji o całą nadbudowę duchową, opartą na dalekiem spojrzeniu w ciągłość pokoleń, jedynie sycącem tęsknotę i głód wieczności...

A więc — wracając do tematu — twórczość planowa „na odcinku kultury" na Wschód od nas i „obozy przysposobienia literackiego", lub coś w tym rodzaju, na Zachodzie, wreszcie Państwowe Akademje Literatury w słonecznej Italji... i gdzieindziej... Tendencyjność, uspołecznienie w beztrosko dotychczas wolnej i leniwie swobodnej krainie twórczości kulturalnej.

Ale, zorganizowawszy dziedzinę produkcji, dokonalibyśmy dopiero połowy niezbędnej pracy — druga część leży w uporządkowaniu, udostępnieniu i upowszechnieniu konsumpcji, nie arcydzieł, ale przedewszystkiem codziennej, zdrowej odżywki umysłowej i artystycznej.

Ta strona zamierzonego zadania natrafia na większe, niż poprzednia, trudności, oporność kształtowanego materjału. Człowiek współczesny nie ma zasadniczego pionu duchowego, potrzebnego dla składnej i trwałej budowy wewnętrznej. To też rozwija się raczej pod naporem sił zewnętrznych, niż naskutek ciągłego samokształcenia, jak np. w organicznej epoce średniowiecza. Gdy więc tak jest, zamiast być podmiotem w społecznym procesie kulturotwórczym, staje się on wyłącznie przedmiotem spekulacji różnych „rycerzy przemysłu" artystycznego, zabiegających przy pomocy niewyszukanych *trick*'ów o zdobycie np. kompletu widzów, jednem słowem — o klijenta, i to w dodatku takiego, któremu stosunkowo łatwo wmówić najpośledniejszą tandetę.

Trudność naprawy tego stanu rzeczy spoczywa w niemożności prędkiego podniesienia wymagań konsumenta, za czem dopiero mogłoby nastąpić przystosowanie produkcji. A więc nie obeszłoby się tutaj bez ingerencji czynnika nadrzędnego, oczywiście, przy zastosowaniu objektywnych sprawdzianów dla wykrycia, tak bijących w oczy, „grzechów publicznych", jak produkcja kiczu w celach komercjalnych lub świadome wygrywanie instynktów najniższych (szczególnie przez wydawnictwa pornograficzne). Gdyż — jak słusznie zaznacza autor — handlu żywym towarem nikt nie będzie tolerował — w imię wolności człowieka. Na przeszkodzie stanęłaby zmartwychwstająca dziś napowrót opinja.

Oczywiście, postulat represji państwowej należałoby stosować z całym umiarem — wiemy skądinąd, jaki to niebezpieczny i giętki aparat.

Przedewszystkiem jednak zalecają się metody pozytywne: prelekcje artystyczne (pastor Lauterburg w Saanen, w Szwajcarji), uniwersytety ludowe (Danja) oraz planowa akcja bibljoteczna (wypożyczalnie i czytelnie publiczne, połączone ze stałą instytucją kółek literackich).

W nawiązaniu do pracy A. Niesiołowskiego kontynuuje Bolesław Kudelka rozważania na powyższe tematy, znajdując w regjonalizmie najzdrowsze rozwiązanie wielkiej sprawy kultury ludowej. I to w regjonalizmie zarówno wsi, jak miast i miasteczek. Bowiem „obecna Polska w szybkiem tempie wkracza w okres urbanizacji. Urbanizacja jest koniecznością gospodarczą, społeczną i narodową. Zurbanizowanie jednak naszego życia, bezplanowe przenikanie tego procesu do rasowo polskiej wsi, kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo zatracenia rodzimych pierwiastków kulturalnych, tem większe, że miasta nasze w znacznym odsetku zamieszkuje obcoplemienna ludność, o wyraźnych, własnych, a często wrogich nam celach. Musimy więc wytwarzać rodzimą kulturę, tak bardzo u nas niedorozwiniętą, stanu trzeciego, równocześnie jednak winniśmy najwyższą troską otoczyć wieś, rezerwat sił, tężyzny i zdrowia narodu. Od równocześnie prowadzonej pracy kulturalnej, na obu odcinkach miasta i wsi, zależy okrzepnięcie i zwartość narodowa, która prowadzi do ekspansji na wschodzie, do pozyskania nietylko politycznego, ale i duchowego współobywateli o pokrewnym języku. Od tej ekspansji zależeć będzie nasza potęga wielkomocarstwowa, o której dziś tak głośno".

Zajmującej i ważnej treści zeszytu dopełniają — Leopold Caro: „Przyczynowość czy celowość w ekonomice społecznej"; Kurt Grube: „Kultura i kształcenie w pedagogice Humboldta" (z rękopisu niemieckiego przełożyła Jadwiga Suchodolska); Wacław Prihoda: „Polityka szkolna w republice Czechosłowackiej"; Kazimierz Wyka: „Krytyka pracy u młodych Francuzów". ST. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dwutysiączną rocznicę urodzin Horacego upamiętniła „Bibljoteka Filomaty" Lwów wydaniem wyboru pism poety. W małej poręcznej książeczce zgromadzono tu najlepsze przekłady poszczególnych utworów, niektóre z nich mistrzowskie. Prym wodzi Kochanowski, po nim zaś odrazu jawią się tłumacze z w. XIX i XX. Może niesłusznie pominięto ten lub inny przekład wartościowy z w. XVIII — przy szperaniu napewnoby się i takie znalazły. Kto bowiem, jak kto, ale Horacy miewał u nas zawsze tłumaczów wielu, a nie brak ich i między niepospolitymi pisarzami. Do takich pominiętych należy z późniejszej generacji Ejsmond, w którego puściźnie rękopiśmiennej, jak słychać, kryją się niezłe przekłady Horacjusza. Można też było uwzględnić przekład jednej z pieśni, dokonany przez filomatę-Mickiewicza (doprawdy nienajlepszy w jego dorobku). Z dzisiejszych pisarzy liczbą przekładów reprezentowani są w zbiorku przedewszystkiem H. Morstin, J. Birkenmajer, J. Rościszewski i I. Wicielewska. Z zeszłowiecznych słusznie przypominano świetne przekłady Satyr, dokonane przez Faleńskiego, oraz te arcydzieła, jakiemi są transkrypcje Konst. Górskiego (zwłaszcza „*Miserarum est*".)

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.